NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy. — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 1 czerwca 1912. Nr. 22.

Rewolucyjne walki w Budapeszcie.



Nr. 22 „Nowości Illustrowanych" zawiera: Ś. p. Stanisław Rawicz Lipiński. — Pogrzeb Bolesława Prusa. — Pierwsze zwycięstwo Włochów. — Egzekucye w Fezie. — Zwrot w polityce niemieckiej. — Ćwiczenia strzeleckie gimnazyalistów. — Opieka nad sierotami. — Święto lalek w Japonii. — Zjazd polskich ceramików.

S. p. Stanisław Rawicz Lipiński.

Wydawnictwo nasze poniosło ciężką, wprost niepowetowaną stratę.

W dniu 27. b. m. zmarł po długiej a dolegliwej słabości założyciel, wydawca i naczelny redaktor *Nowości Illustrowanych*, ś. p. Stanisław Rawicz Lipiński, pozostawiając po sobie pamięć najlepszego męża i ojca, a dla współpracowników wyrozumiałego szefa i prawdziwego przyjaciela.

Urodzony we Lwowie w r. 1874 jako syn znanej obywatelskiej rodziny, w młodzieńczym wieku przeniósł się z rodzicami do Krakowa i tutaj ukończył szkoły średnie, a następnie zapisał się na uniwersytet wiedeński. Już jako młody akademik poświęcił się publicystyce. W r. 1894 wstąpił do redakcyi *Dziennika porannego* w Krakowie, następnie pracował w *Dzienniku krakowskim*, zasilając artykułami także i inne pisma miejscowe, lwowskie i warszawskie.

Po dłuższym pobycie we Warszawie, gdzie również oddawał się pracy dziennikarskiej, powraca do Krakowa, który całem sercem ukochał i tu wpada na szczęśliwą myśl założenia popularnego illustrowanego pisma, któreby wyparło rozpowszechnione w całej Galicyi illustracye niemieckie.

W ten sposób powstają w r. 1904 *Nowości Illustrowane*, dziś jedno z najpoczytniejszych i najulubieńszych pism polskich, znane wszędzie, jak daleko sięga polski język i polska kultura.

Każdy początek jest trudny, niezbyt też wesołe były pierwsze chwile nowego wydawnictwa. Na każdym kroku powstawały trudności, zwalczyła je jednak żelazna wola i prawdziwie męska energia redaktora, który z dumą mógł spoglądać na swe dzieło, rozwijające się coraz pomyślniej dzięki poparciu społeczeństwa, umiejącego ocenić wartość tego rodzaju publikacyi. Nawet ci, którzy nie rokowali *Nowościom Illustrowanym* powodzenia, dali się z czasem przekonać. Dziś niema chyba polskiego domu, gdzieby ich nie czytano.

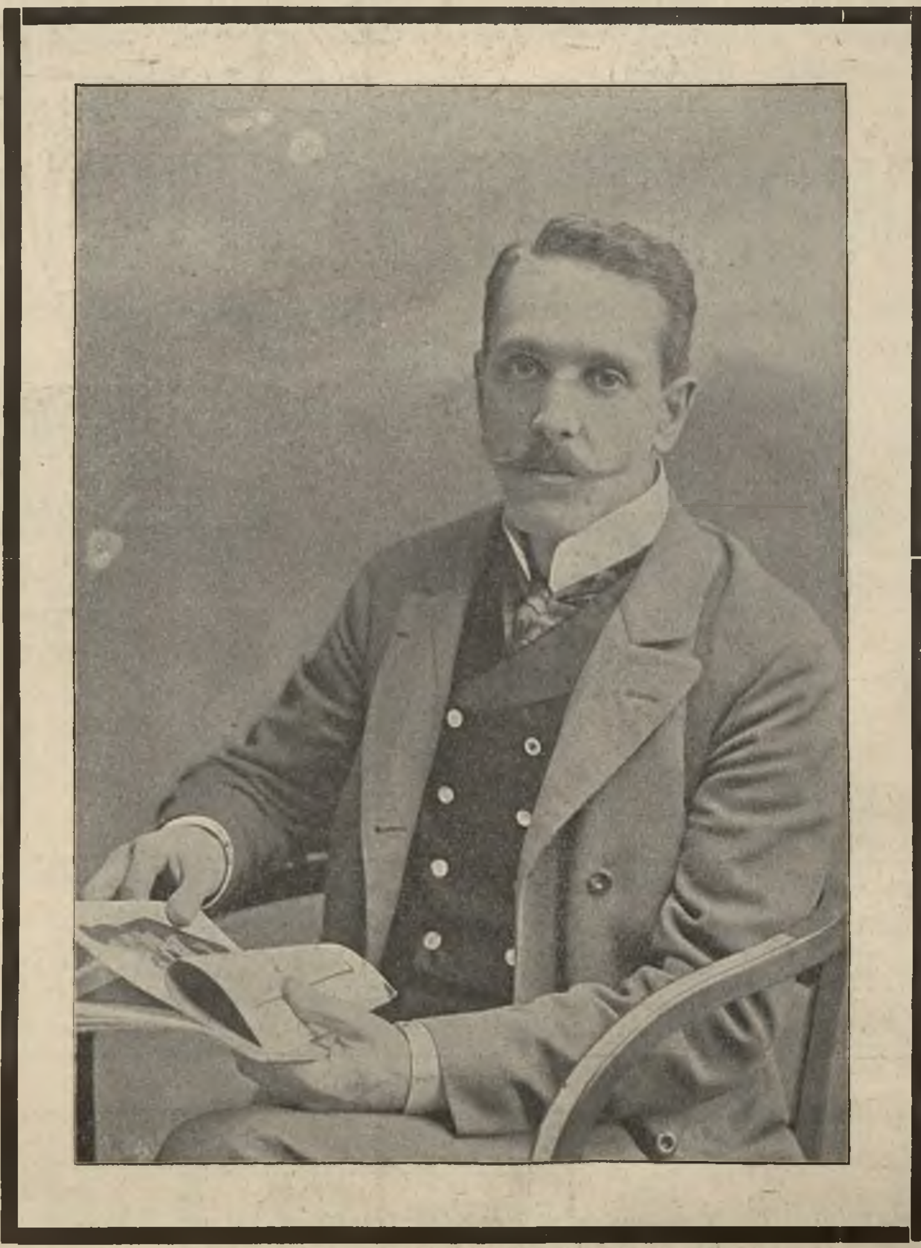
Z czasem rozszerza i ulepsza ś. p. redaktor Lipiński swe pismo, zakłada własny zakład fotograficzny, cynkografię i drukarnię, nie żałując kosztów i wysiłków, aby tylko postawić je na tym stopniu rozwoju, by mogło konkurować skutecznie z tego rodzaju wydawnictwami zagranicznemi.

Ciężka jednak i denerwująca praca stargała te, jak się wydawało, żelazne siły i powaliła Go na łoże boleści, z którego się już nie podźwignął i w dniu 27 maja zgasł w pełni męskiego wieku, bo licząc zaledwie trzydzieści ośm lat życia, osierocając strapioną małżonkę i troje ukochanych dzieci.

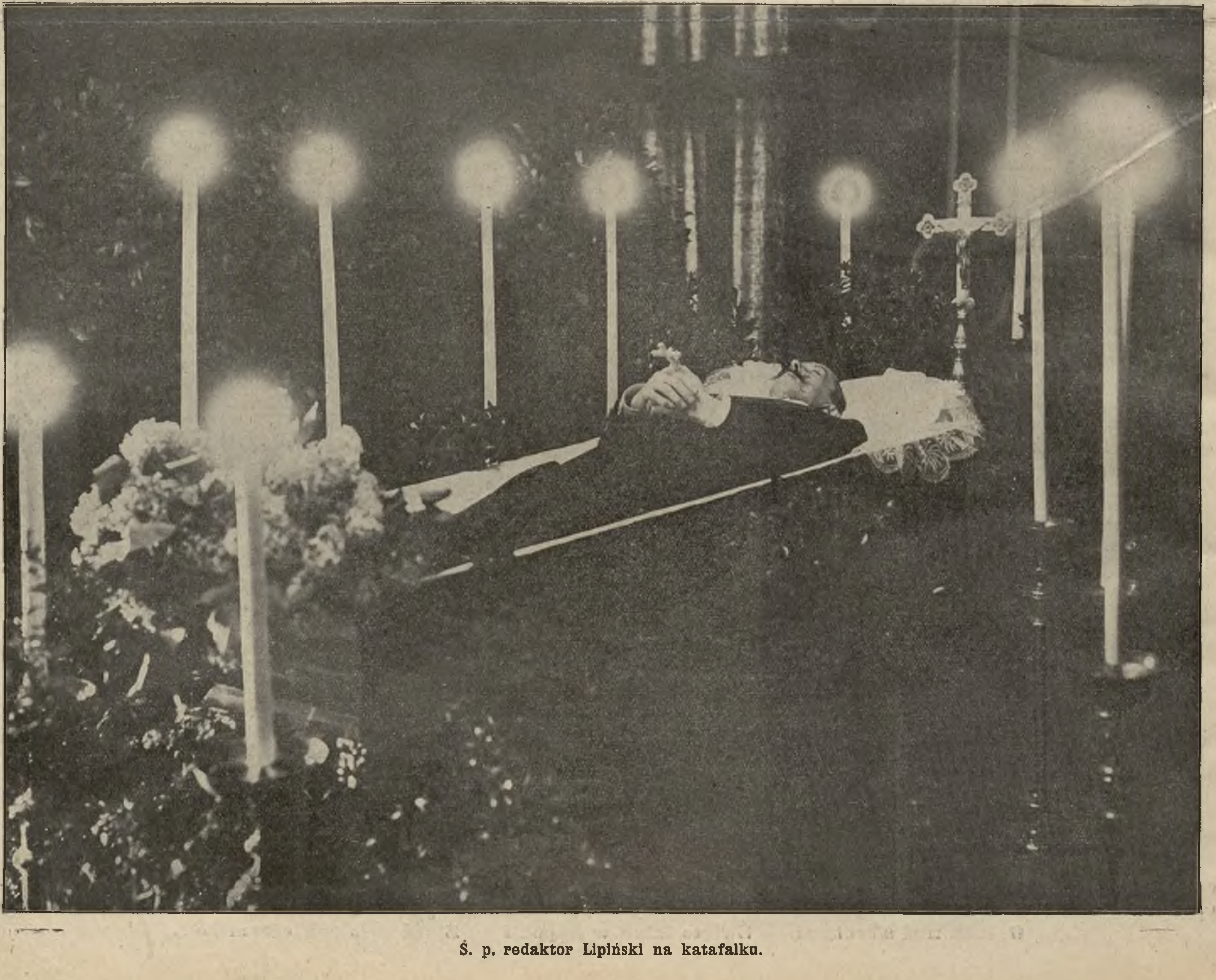
Kto miał sposobność zetknąć się bliżej z ś. p. Stanisławem Lipińskim, ten podziwiać musiał pogodę jego umysłu i zalety jego serca, nieugiętą wolę i żelazną energię, pracowitość i wytrwałość. Do ostatnich też chwil życia, choć złożony ciężką niemocą, zajmował się sprawami swego pisma i osobiście niem kierował.

Zgasł cicho i spokojnie, jak prawdziwy żołnierz na posterunku; żegnamy go też z żalem i gorzkiemi łzami opłakujemy tę bolesną stratę, jaka nas niespodziewanie dotknęła.

Cześć Jego pamięci! Niech Mu lekką będzie ta krakowska ziemia, którą tak ukochał!



Ś. p. Stanisław Rawicz Lipiński, założyciel, wydawca i naczelny redaktor „Nowości Illustrowanych".



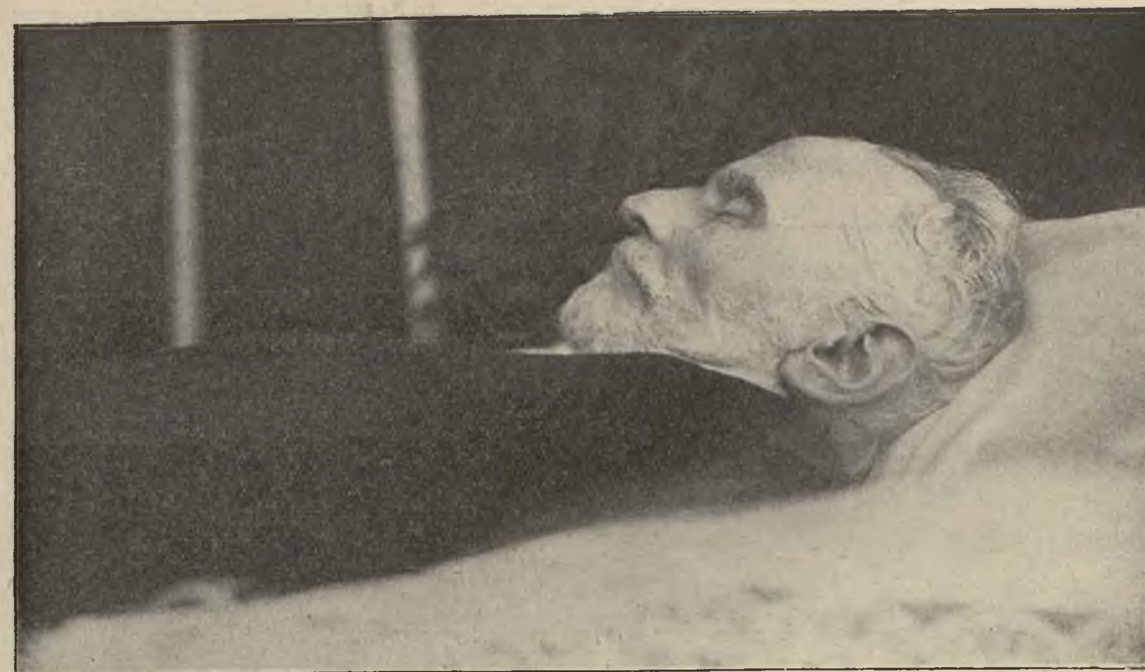
Ś. p. redaktor Lipiński na katafalku.

Pogrzeb Bolesława Prusa.

Dzień pogrzebu Bolesława Prusa stał się dla Warszawy a z nią dla całej Polski dniem uroczystej żałoby. U trumny zgasłego pisarza znalazły się wszystkie stany, wszyscy ci, ku którym Prus kierował swe najpiękniejsze natchnienia i myśli. Ulice Warszawy zaroiły się wielotysięcznym tłumem, opustoszały fabryki i warsztaty, a obok szarej bluzy robotniczej znalazły się mundurki studenckie i ten wielobarwny, wielotysięczny tłum delegacyi, jakie z całej Polski przybyły, aby oddać ostatnią posługę wielkiemu pisarzowi-obywatelowi. Z głębokiem odczuciem poważnej chwili spieszyły masy ludu za trumną pisarza.

W kościele św. Aleksandra wzniesiono uroczysty, choć skromny katafalk. Na purpurze wśród lasu zieleni spoczęły zwłoki znakomitego męża. Na dywanach, rozesłanych przed katafalkiem, złożono stosy wieńców. Było ich tak wiele, że pomieścić się nie mogły, a do ostatniej chwili wyruszenia pogrzebu przybywały wciąż nowe.

Straż honorową w kościele i podczas pogrzebu pełnili pod kierownictwem prezesa Tow. wioślarskiego wychowańcy szkół, członkowie towarzystw sportowych oraz przedstawiciele robotników.



Pogrzeb Bolesława Prusa: Ś. p. Aleksander Głowacki na łożu śmierci



Pogrzeb Bolesława Prusa: Kondukt pogrzebowy posuwa się wśród niezliczonych tłumów.

pp. Libicki, Baliński, K. Olchowicz, Wł. Buchner, L. Kobyłecki, G. Trojanowski, Ig. Matuszewski i K. Gliński.

Trumnę umieszczono na karawanie parokonnym, ubranym kwiatami. Za zwłokami postępowała najbliższa rodzina, za nią zaś przedstawiciele i delegaci różnych instytucyi naukowych, a więc reprezentanci Uniwersytetu Jagiellońskiego, Tow. naukowego, Stow. dziennikarzy i literatów, Tow. techników, lekarzy, prawników i wiele innych.

O godz. 5 kondukt przy dźwiękach dzwonów ruszył ku cmentarzowi. Przez oświetlone spowitemi w krepę latarniami ulice pochód żałobny posuwał się powoli wśród nieprzejrzanego morza głów ludzkich ku Powązkom.

Przed bramą cmentarną wzięli trumnę na swe barki cykliści, następnie zaś nieśli ją naprzemian przedstawiciele młodzieży i stowarzyszeń literackich.

Nad grobem po odprawieniu modłów przez duchowieństwo przemówił pierwszy prof. Ignacy Chrzanowski, po nim zaś przemawiali: Ign. Matuszewski, adw. Suligowski, p. Koparbiński, dr. Kosiński i Artur Opmann (Or-ot).

Na zamurowanym grobie złożono wieńce, które utworzyły wielką mogiłę, mieniącą się blaskiem złota napisów i barwami kwiatów.

Ogółem na trumnie złożono 125 wieńców. Nadeszło również mnóstwo telegramów i pism kondolencyjnych.

W dzisiejszym numerze podajemy szereg zdjęć fotograficznych z tej olbrzymiej żałobnej manifestacyi, jaką żegnała Warszawa Bolesława Prusa.

O godz. wpół do 11-tej kościół i plac przed kościołem przedstawiał jedno morze głów. W kościele wyszła Msza św., którą celebrował ks. kanonik Szlagowski. Podczas nabożeństwa na chórze śpiewali chór opery oraz śpiewacy Dygas, Ostrowski i Metaxian.

Właściwe ceremonie pogrzebowe rozpoczęły się popołudniu. O godz. 3 już począł się tworzyć olbrzymi kondukt żałobny. Na czele ustawiła się dziatwa z ochrony im. Prusa, ochrony Tow. dobroczynności, Tow. opieki nad dziećmi i Tow. niedoli dziecięcej.

Następnie podążały dzieci starsze ze szkół średnich męskich i żeńskich.

Za młodzieżą postępowały instytucye artystyczne. Szły więc: szkoła sztuk pięknych, Tow. „Orfeon“, „Lutnia“, Tow. dramatyczne i artyści wszystkich teatrów.

Kroczyły potem korporacye, od których wieńce złożone były na sześciu wozach.

Za korporacyami podążały delegacye miast prowincyonalnych, zbór ewangelicki, oraz różne stowarzyszenia warszawskie.

Osobną, wielką część pochodu stanowiły delegacye robotników gazowni, tramwajów, wielu fabryk, oraz przedstawiciele cechów. Następnie szło duchowieństwo.

Ceremonia kościelna pogrzebowa zaczęła się o godzinie 4 popołudniu. Po odprawieniu modłów podniosłą mowę pogrzebową wypowiedział ks. kanonik Szlagowski. Następnie odśpiewano psalmy, poczem zdjęto trumnę z katafalku. Wzięli ją na swe barki



Pogrzeb Bolesława Prusa: Wieńce, złożone na grobie Prusa.

Rewolucyjne walki w Budapeszcie.

(Do illustracyi tytułowej).

Od szeregu lat Węgry są widownią ciągłych przewrotów politycznych. Rząd, oparty na części



Rewolucyjne walki w Budapeszcie: Wojsko usuwa barykady na ul. Wacowskiej.

tylko narodu, która za pomocą sztucznie ułożonych ustaw zapewniła sobie przewagę w państwie, ma przeciw sobie ogromne rzesze ludności niewęgierskiej, która uciskana i madziaryzowana, daremnie próbuje przełamać krępujące ją więzy. Oprócz tego w łonie samych Węgrów partya monarchiczna i zbliżona do Austryi, ma przeciw sobie inne partye, które coraz goręcej domagają się samodzielności i niezawisłości zupełnej Węgier. To też gabinety zmieniają się tam, jak w kalejdoskopie, a obrady sejmu węgierskiego bywają nieraz bardziej burzliwe, niż w austryackim parlamencie.

W zeszłym tygodniu przyszło jednak do burzy, która niespodzianie wybuchła na ulicach Budapesztu i przybrała charakter rewolucyi. Zaburzenia te pociągnęły za sobą liczne ofiary w zabitych i rannych, a powodem ich była paląca sprawa reformy wyborczej. Aby złamać przemożne wpływy partyi rządowej, domagają się liczne partye opozycyjne, a między nimi i partya socyalistyczna, przeprowadzenia reformy wyborczej, któraby dała dostęp do Sejmu tym narodom i klasom społecznym, które dotychczas nie mają w nim reprezentacyi. Aby przyspieszyć decyzyę rządu w tej sprawie, socyaliści urządzili demonstracyjny strejk robotniczy i postanowili odbyć zgromadzenie ludowe przed sejmem.

Ani jednak rząd, ani obecny przewodniczący sejmu hr. Tisza nie chcieli pozwolić na tego rodzaju demonstracye. Obsadzono więc dostęp do sejmu policyą i wojskiem i postanowiono wszelkie demonstracye uniemożebnić. Zarządzenia te pociągnęły jednak za sobą krwawe następstwa.

Już w pierwszy dzień rozruchów cały Budapeszt był w ogniu walki. Na ulicach demonstrowały tłumy, starając się dostać pod sejm. Walczyło z nimi wojsko i policya. Pierwsze strzały padły na ulicy Wacowskiej. Potem demonstracye i starcia ponawiały się na placach i innych ulicach, wieczorem zaś przybrały wprost rewolucyjny charakter, gdyż część fabryk ogłosiła, że nie przyjmie do pracy robotników, którzy zastrejkowali.

Na ulicach pojawiły się barykady, które wojsko musiało zdobywać bagnetami.

Noc przeszła w burzliwem podnieceniu, a na drugi dzień od wczesnego rana awantury ponowiły się z większą jeszcze siłą. Demonstranci podpalali beczki z naftą i smołą na ulicach, budowali barykady z wozów i bruku, strzelali do wojska z rewolwerów. Zdemolowano kilka fabryk i spalono urządzenie ekspozytury policyjnej. Plon starć był bardzo obfity. Padło pięciu zabitych, a 236 osób zostało poranionych, zaś około 180 osób aresztowano.

Wreszcie wzburzenie ustąpiło miejsca rozwadze. Rozpoczęły się rokowania z przywódcami strejku, czego wynikiem było cofnięcie wydalenia robotników przez fabryki oraz obietnica rządu, że sprawę reformy wyborczej przyspieszy. Zaburzenia ustały, a robotnicy wrócili do pracy.

Sprawa reformy wyborczej na Węgrzech otrzymała w ten sposób krwawy chrzest. Nie wiadomo jednak czy przyniesie pożądany skutek i czy sejm obecny zechce dać Węgrom taką reformę wyborczą, o jaką demonstranci walczyli.

Tytułowa illustracya nasza przedstawia scenę z walk ulicznych w Budapeszcie. Prócz tego podajemy fotograficzne zdjęcia poszczególnych epizodów zaburzeń.



Pogrzeb Bolesława Prusa: Gabinet, gdzie Bolesław Prus pracował do ostatniej chwili życia przemieniony na pokój żałobny.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

19)

— To niema żadnego sensu, — mówiono ogólnie, — urządzać jakąś żałobę narodową, to nas naraża na śmiechy i drwiny Niemców i Rosyan. Czynem pokażmy, co możemy i umiemy, a nie odmawianiem sobie zabaw i przyjemności w tak ciężkich czasach.

Pod czynem rozumie prawdziwy Galicyanin odsiedzenie przepisanej ilości godzin w biurze i załatwienie „kawałków“ wyznaczonych przez przełożonego. Istotnie, cała tak zwana inteligencya Krakowa w niczem nie zmieniała zwykłego trybu życia w karnawale, bawiono się publicznie i prywatnie we wszystkich kółkach i kółeczkach towarzyskich.

Czajkowscy nie brali udziału w tych zabawach, więcej może z braku znajomych i sposobności, aniżeli z przekonania.

Jednego dnia otrzymał Roman niespodziewanie bardzo uprzejme zaproszenie na wieczorne zebranie u państwa Stokłosów. Mając istotną sympatyę dla nich obojga, odpisał, że w oznaczonym dniu stawi się chętnie.

Zastał tam dosyć osób, a pomiędzy niemi, prócz gospodarzy, jedynym jego znajomym był Marski, który przywitał go serdecznie i wziąwszy na stronę, zapytał o stosunki jego w fabryce.

— Z kolegami biurowymi prawie że się nie znam, — odpowiedział Roman, — są to żydzi.

— A prócz pana niema tam innego katolika?

— Jest techniczny kierownik, ale to człowiek zapracowany, żonaty i niechętnie się udziela.

— Ale pensyę otrzymuje pan regularnie?

— Tak jest.

— A kaucya zabezpieczona?

— Postąpiłem według rad i wskazówek pana.

— Dla uczciwych ludzi wystarczyłoby, — uśmiechnął się Marski, — ale tu sprawa z żydem i szczerze radzę, ażebyś się pan pilnował.

— A pan Stokłos nie porzucił swego planu co do kinematografu? — spytał Roman.

— O, nie, to człowiek zawzięty; apelował do namiestnictwa, odpowiedzi naturalnie niema... Zna pan to towarzystwo?

— Prócz pana i gospodarzy, nikogo.

— To są zamożni, jak wy mówicie, burżuje. Widzi pan tego grubego jegomościa? — wskazał na nizkiego, pękatego. z pełną twarzą, szpakowatego bruneta, — to Filarek, na wędlinach dorobił się dwóch kamienic i dwóch córek, — uśmiechnął się.

— One są tutaj?

— Tak jest. Ta wiotka, ładna blondynka z bukiecikiem fiołków przy staniku, to Mania, starsza córka, a ta nizka szatynka, wesoła i uśmiechnięta, to Stasia, jej siostra.

— Czy jest tu ich matka?

— Matka umarła, a wychowała je siostra ojca, ta jejmość sucha i wysoka jak tyka.

Kolejno zaznajamiał Romana z resztą towarzystwa, bez żółci i plotek, tylko z uwagami zabawnemi a niewinnemi.

Tę ich rozmowę przerwała gospodyni domu, która przystąpiła do nich z uśmiechem mówiąc:

— Dość tej obmowy, panie Marski, nie psuj mi pan interesu.

— Niech mię pani przyjmie do wspólki, — zaśmiał się Marski, — jako wspólnicy będziemy sobie pomagali.

— Każdego innego, tylko nie pana.

— Czy jestem wyklęty?

— Zasługuje pan na to. Same panny garną się do pana, a pan uparł się zostać nieznośnym, starym kawalerem.

— Ja nie zarzekam się wcale ożenku, ale muszę znaleźć silniejsze podniety, aniżeli pani namowy.

— Panie Czajkowski, proszę ze mną, niech pan nie słucha tego bezbożnika, zepsuje się pan.

— Jeśli jest co do zepsucia, — zaśmiał się Marski.

Pani domu poprowadziła Romana wprost do siostry pana Filarka, przedstawiła go, a po wymianie kilku banalnych frazesów, zbliżyła się do rozmawiającego Filarka, mówiąc:

— Panie, Filarek, przedstawiam panu naszego przyjaciela, a mego protegowanego, — wymieniła nazwisko Romana, — który z powodu rewolucyi przeniósł się z Warszawy tutaj i natychmiast otrzymał bardzo dobrą posadę. Chcę go poznać z najdzielniejszymi obywatelami Krakowa, a więc w pierwszym rzędzie z panem.

Filarek odruchowo przygładził dłonią rzadkie włosy na łysinie, obrzucił Romana chytremi, śmiejącemi się oczkami i podając rękę, usiłował mówić cicho, jakkolwiek głos jego słychać było niemal w całym pokoju:

— Bardzo to pięknie, że pan do nas przyjechał. U nas panie, zawsze można mieć kawałek chleba, tylko trzeba pracować, o!... A jaką to posadę ma pan dobrodziej, co?

— Jestem kasyerem w fabryce.

Filarek skrzywił się nieznacznie, co dostrzegła Stokłosowa i szybko dodała:

— To posada tymczasowa, panie Filarek, pan Czajkowski jest wspólnikiem mego męża i będzie miał znaczne dochody.

— W to wierzę, — uśmiechnął się dobrodusznie Filarek, — bo mąż pani dobrodziki ma głowę na karku i robi dobre interesa. Jako wspólnika pana Stokłosa przyjmę pana chętnie u siebie. Mieszkamy skromnie we własnej kamienicy, ale dla gości znajdzie się miejsce.

— Nie obrażałby pan Pana Boga, — zaśmiała się gospodyni, — zajmuje pan cały apartament, pięć pokoi na pierwszem piętrze.

— No, jest jeszcze ubieralnia, pasaż i łazienka. Niech mi sam pan dobrodziej powie, — zwrócił się do Romana, — przecież na to człowiek całe życie pracował, ażeby miał wygody na starość. Nie idzie o mnie samego, ja tam nie zwykł do salonów, ale dla dzieci, dla córek... a zna pan moje córki?

— Właśnie chcę pana Czajkowskiego przedstawić pannom.

— To dobrze, młodzi z młodymi, taki porządek.

Gospodyni szła dalej z Romanem, szepcąc:

— Niech się pan nim nie zraża, to bardzo dobry człowiek, trochę dorobkiewicz, tak jak i mój mąż, ale tylko tacy są coś warci.

— Prawda... ale pani nie jest Galicyanką?

— Skąd to pytanie? — zaśmiała się wesoło.

— Bo tu, zdaje mi się, wyżej cenią rangi, aniżeli pracę.

— Wiem o tem, ja też jestem Wielkopolanką.

Przystąpili oboje do panny Maryi Filarkównej, siedzącej trochę na uboczu, a po przedstawieniu Romana, powiedziała gospodyni:

— Panie Czajkowski, baw pan moich gości, od czegóż pan młody i kawaler? i pamiętaj pan, ażeby panna Marya nie skarżyła się na nudy. Siadaj pan, tu, bliżej, — wskazała mu krzesło obok panny i odeszła.

Na razie oboje młodzi prowadzili dosyć banalną rozmowę o pogodzie, kwiatach, ale stopniowo zaczęli mówić o najprzyjemniejszym temacie, bo o sobie.

— Jaki pan szczęśliwy, — westchnęła lekko, patrząc smutnemi oczyma przed siebie, — że pan pracuje, ma pan cel w życiu.

— Każdy mieć go może, byle chciał, — odpowiedział Roman, — tylko od nas samych zależy szczęście.

— Tak... pan mówi jak mężczyzna, ale co innego my, kobiety. My jesteśmy skazane na bezczynność, póki... póki ktoś nie otworzy zamkniętej klatki.

— Patrząc na panią, — uśmiechnął się Roman, — nie przypuszczam, ażeby ta klatka szkodziła pani, taka pani ładna, świeża i pełna życia.

— Pozory, — zarumieniła się lekko i spuściła oczy, — żyję jak ta roślina w cieplarni, wegetuję tylko, i taka pustka wokoło.

— Czyż nikt nie pokusił się o otwarcie tej złotej klatki?

— Wpierw musiałby klucz znaleźć.

I tak oboje krążyli wokoło miłości, tęsknoty i niezaspokojonych pragnień, jak ćmy wokoło ognia.

Roman, silny wolą i swą samodzielnością, poczuł wielkie współczucie dla pięknej, a tęskniącej do życia panny i zapragnął natchnąć ją siłą, energią do zrzucenia więzów, które przeszkadzały rozwinąć skrzydła tej pięknej duszy.

Stęskniony do towarzystwa niewiast, do tej rozmowy, uzupełnianej półsłówkami, spojrzeniami, akcentowaniem słów najpospolitszych, nadawaniem im innego znaczenia, był niemal oczarowany swoją sąsiadką i starał się usilnie o odszukanie klucza, który by mu pozwolił obudzić do życia tę, zdaniem jego. zaczarowaną królewnę, mającą dziwnym przypadkiem losu, ojca tak prostackiego i nieprzyjemną ciotkę.

Przy kolacyi, jakkolwiek ze względu na formy towarzyskie, rozmawiał także z innymi, ale cały oddał się na usługi sąsiadującej z nim Mani.

Ona, widząc to zajęcie się nią Romana, zwolna chłodła i stawała się wymagającą. Przestała mówić o swym smutku, niewoli, wegetowaniu i w połowie wieczerzy zaczęła podniecać Romana do krytykowania towarzystwa i poszczególnych osób.

Roman puścił chętnie wodze swej złośliwości, określił karykaturalnie dalsze i bliższe sąsiedztwo, co Mania przyjmowała z wybuchami wesołości i śmiechu.

Po kolacyi, gdy mężczyźni przeszli na cygara i papierosy do innego pokoju, zbliżył się Marski do Romana, mówiąc z uśmiechem:

— Ryba haczyk połknęła.

— Nie rozumiem, — zarumienił się Roman.

— Bez tej blagi! — śmiał się Marski, — plan swatki powiódł się na razie.

I ona podobała się panu?

— Dosyć ładna, miła i inteligentna.

— Hm, to winszuję panu. Dla mnie to galareta, trochę sztuczna, trochę udana.

— Pan nie gustuje w takich, jak ona?

— Ja, uważa pan, panie Czajkowski, lubię zdrowe, dzielne, rosłe dziewczęta, które wiedzą, że nam trzeba dobrej gospodyni, a dzieciom zdrowej matki. A te wszystkie, ach! och! kwiaty, romanse, flirty, to psu na budę.

Roman w słowach Marskiego odczuł surową krytykę Mani, co go wbrew woli dotknęło, i odrzekł:

— W kobiecie nie szukam tylko gospodyni i przyszłej matki, ale chcę mieć towarzyszkę, któraby rozumiała i przeżywała ze mną wszystkie wrażenia.

— Larifari, gruszki na wierzbie. Niechno pan spróbuje dać żonie na śniadanie poezye, na obiad kwiaty, na kolacyę wrażenia, a ubrać ją w mgły i tęcze, dopiero pozna pan piekło na ziemi.

— Pan robi karykaturę, — uśmiechnął się Roman, — a przyzna pan sam, że kobieta, tak jak każdy z nas, prócz jedzenia, picia i ubrania potrzebuje zadowolenia umysłowego i etycznego.

— Jak ma dziecko i męża, w kąt idą wszystkie, tak zwane potrzeby duchowe, nauki, doktoraty, profesury... ale, jeśli panu dobrze z tem złudzeniem, nic mnie to nie obchodzi.

Zaczęli mówić o wspólnych znajomych.

W tym samym czasie, Stokłosowa nie zaniedbywała dalszych starań o urzeczywistnienie swego planu. Upatrzywszy stosowną chwilę, zbliżyła się do Mani i spytała swobodnie:

— Jakże się pani podobał mój protegowany?

— Kto, proszę pani? — udała zdziwienie, ażeby zyskać czas na odpowiedź, ale samo zarumienienie zdradziło ją, i ona to odczuła, gdyż dodała: — zapewne pani ma na myśli pana Czajkowskiego? — a na potakujące skinienie gospodyni, mówiła dalej:

— Dosyć przyjemny, tylko on jakiś nie nasz.

— Cóż mu brakuje? — uśmiechnęła się.

— Tak sobie drwi ze wszystkich, jak gdyby on jeden był wyjątkiem.

— O, to mu zganię, — powiedziała Stokłosowa, — to brzydka wada.

— Nie, nie, niech mu pani nie mówi, miałby żal do mnie.

— A wie pani, że ojciec go zaprosił do was.

— To dziwne. A kiedy mu powiedział?

— Już on się sam postarał, on w pani taki rozkochany, że nie widzi świata przed sobą.

— Pani żartuje, — zaczerwieniła się z zadowolenia.

— Wcale nie, wszyscy o tem rozmawiali przy stole, tylko wy dwoje nie zauważyliście tego, jak zwykle zakochani.

— O, nie ja, — zaprzeczyła żywo.

W tej chwili w progu saloniku stanął Marski z Romanem i obaj patrzyli na Stokłosowę i Manię.

— Ręczę pani, — szepnęła gospodyni, — że pan Marski wysila się, ażeby zniechęcić pana Romana do starania się o względy pani.

— Ach, on się Roman nazywa, — powiedziała ucieszona.

— Podoba się pani to imię? to wcale ładnie będzie brzmiało: pani Romanowa Czajkowska... byle tylko ten Marski go nie przekabacił.

— Czy on taki zmienny? czy tak łatwo ulega drugim? — spytała z zajęciem.

— No, wie pani, mężczyźni mają swoje sposoby odstręczania od małżeństwa. Wystarczy, o ile nie jest bardzo rozkochany, ażeby mu drugi przedstawił w czarnych kolorach wymagania ojca, pretensyonalność matki, kokieteryę i próżność panny...

— O, tego u nas niema, ojciec rad będzie, gdy wyda nas za mąż, a ciotka będzie uszczęśliwiona, gdy zostanie sama na gospodarstwie w domu, — i zniżając głos do szeptu: — czy nie mogłaby się pani dowiedzieć, co też mówił pan Marski?

— I owszem, — i spojrzawszy znacząco w stronę stojących dwóch mężczyzn, dała im znak, ażeby się zbliżyli.

Spostrzegli to. Marski szedł wolnym, równym krokiem, a niecierpliwy Roman wyprzedzał go i znów się zatrzymywał, ażeby iść razem z towarzyszem

— Siadajcie panowie przy nas.

Marski rozejrzał się po salonie i rzekł z uśmiechem:

— Gdzież mam usiąść? — rozglądał się za krzesłem, — czy jak żyd na bosinach?

— Czy mam panu przynieść krzesło? — zaśmiała się gospodyni.

— Niekoniecznie, — odparł, — ale dobra gospodyni powinna mieć dostateczną ilość krzeseł, kiedy zaprasza gości.

— Na drugi raz zaproszę pana do obliczenia krzeseł... co to znaczy młody i grzeczny kawaler! ucz się pan! już pan Czajkowski zdobył dwa krzesła.

— Nie on zdobył, — uśmiechnął się drwiąco, — to oczy panny Mani kazały mu przynieść krzesła.

— Moje? — zarumieniła się, — nawet nie spojrzałam w tę stronę.

— Ale, proszę pani, — śmiał się, sadowiąc się na krześle, — bywają różne spojrzenia: proste, krzywe, boczne, z pod oka, anielskie, dyabelskie.

— A moje jakie było, zdaniem pana? — zaśmiała się, — chociaż nie patrzałam.

— Ukradkowo - magnetyczno - elektryczne. Zadowolona pani?

— Jesteś pan nieznośny! — zrobiła minkę rozkapryszoną.

— Nic mi nowego pani nie po wiedziała, słyszałem o tem już dawno, — powiedział obojętnie, i do gospodyni:

— W jakim celu pani nas tu zawołała?

— Czy panom tu tak źle? — zaśmiała się.

— Co tu będzie, nie wiem, ale tam było nam dobrze.

— Wezwałam panów na indagacyę, — mówiła z udaną powagą, — i wzywam do zeznania prawdy.

— A któż jest oskarżony? — spytał Marski, gdy Roman milcząco porozumiewał się z panną Manią.

— Naturalnie, że pan, — zaśmiała się Stokłosowa, — nie znam większego potwora.

— Mało zna pani ludzi, — odparł z wyrozumiałym uśmiechem. — O co jestem obwiniony?

— Że pan, zdecydowany nieprzyjaciel małżeństwa, rozmawiając z panem Czajkowskim, usiłował sprowadzić go z drogi cnoty i obowiązku.

— Nic mi na cnocie pana Czajkowskiego nie zależy, — śmiał się, — ani go namawiałem, ani kusiłem.

— Pan jesteś zatwardziały grzesznik, panu nie wierzę. Panie Romanie, przyznaj się pan.

— Do czego?

— Gdzież pan był? Nie słyszał pan, co mówiłam?

— A, wiem, — mówił Roman lekko zmieszany, — nie pamiętam ażeby pan Marski mówił coś o tej sprawie.

— O, jakże krótką ma pan pamięć! — śmiał się Marski. — Czyż nie tłómaczyłem ci młodzieńcze, że poezyą, kwiatami i wrażeniami obrzydzisz siebie w oczach każdej zdrowej i dzielnej dziewczyny?

Obie panie zaczęły się śmiać, a ich wesołość powiększało zmieszanie Romana, który rozdrażniony tem powiedział:

— Marski powtórzył tylko część swej dowcipnej a złośliwej przemowy do mnie, a pominął drugą, poważniejszą.

— Jaką? jaką? powiedz pan! — zachęcała Stokłosowa.

Roman milczał, rozważając czy ma powtórzyć słowa posłyszane. Wyręczył go Marski:

— Powiedziałem, że nie lubię i nie wierzę tym eterycznym istotom, co wzdychają do księżyca, karmią się ambrozyą i nektarem, naturalnie przed ludźmi, a ukradkiem zjadają kiełbasę z kapustą.

Mania na wzmiankę o kiełbasie, zarumieniła się aż po włosy, ojciec jej bowiem miał dawniej sklep z wędlinami, i pogardliwie spojrzała na Marskiego.

— Przez pana mówi żółć, — zawołała Stokłosowa, — pan sam, niezdolny do zrozumienia i odczucia poezyi, wszystkich posądza o obłudę, i za karę musi pan ze mną przetańczyć tego walca, — gdyż właśnie przed chwilą, jedna z pań, uproszona siadła do fortepianu, a trzy pary amatorów tańca kręciło się już po salonie.

Naturalnie Roman nie zaniedbał prosić swej sąsiadki do walca, a że oboje byli dobrani wzrostem i doskonale tańczyli, wywarli bardzo korzystne wrażenie na wszystkich i ogólny szept poszedł po sali: Jaka to dobrana para!

I jak to zwykle bywa, zaimprowizowana zabawa udała się doskonale. Wzrastała ochota do tańca, tak, że nawet starsi panowie i panie wzięli udział, a gościnny gospodarz sprowadził dwóch grajków na skrzypce i fortepian, i zwykłe zebranie przemieniło się w bardzo wesołą i ożywioną, tańcującą zabawę.

Napojów i jedzenia było w bród, a troskliwi gospodarstwo co chwila prosili na wino i przekąski.

Roman, jako wyborny tancerz, na ogólną prośbę, prowadził tańce i w następstwie tego, jego tancerka Mania została królową zabawy, ku wielkiemu zadowoleniu nietylko jej, ale i pana Filarka.

Już dniało, gdy kończył się biały mazur, a znajomość pomiędzy Romanem a Manią tak się zacieśniła, że gdy oboje czekali na swą kolej przy figurze mazurowej, on szepnął:

— Czy pozwoli mi pani odwiedzić siebie jutro...



— Jaki pan szczęśliwy, — westchnęła lekko, patrząc smutnemi oczyma przed siebie.

— Cóż tak nagle? — uśmiechnęła się.

— Chciałbym, ażeby ten czar dzisiejszego wieczoru nie doznał przerwy. Jestem dzisiaj tak szczęśliwy, że staję się zabobonnym i zdaje mi się, że jeśli jutro nie zobaczę pani, pozostanie mi w udziale noc i smutek.

— Szkoda byłoby pana... przyjdź pan jutro...

— Kiedy zastanę panią?

— Najpewniej wieczorem, tak, około szóstej.

— Dziękuję pani, — uścisnął jej rękę, — pani jest bardzo dobra.

— Panie Czajkowski, a teraz co? — zawołał jeden z tańczących, po skończeniu pierwszej części figury.

— Panowie, kółko! Panna Marya rzuca chusteczkę.

I nie tyle dzięki swej zręczności, jak ułatwieniu ze strony tancerki, pochwycił Roman chusteczkę Mani, ale przy odbijanem musiał odstąpić ją na chwilę Marskiemu.

Wreszcie goście zaczęli się rozchodzić, a Filarek, rozczulony winem i zabawą córek, ucałował Romana, mówiąc:

— Prawdziwy Warszawiak z pana, wziął mnie pan za serce, taki pan wesoły, dzielny, a tańczysz, jak Boga kocham, jak baletnik.

— Zbytek pochwał, — ściskał go Roman.

— Jak Boga kocham, prawdę mówię. Przyjdź jutro... a może na obiad? co?

— Ależ Michciu, — odezwała się siostra Filarka, — już biały dzień, nie zdążę z obiadem dla gości...

— Głupstwo! zje to, co i my.

— Na to nie mogę pozwolić, — oburzyła się, — co gość, to gość. Już proś na herbatę wieczorem.

— Z babami nie poradzę, przyjdź pan wieczorem.

— Z całą przyjemnością, — uścisnął ojca, a ucałował rękę ciotki, szukając radosnemi oczyma spojrzenia Mani.

W czasie, gdy panie się ubierały, Stokłosowa szepnęła do Romana:

— Cóż panna?

— Cudowna! — ucałował jej rękę z wdzięcznością.

— Nie zapomnij pan staremu powiedzieć, żeś wspólnikiem mego męża, co jest prawdą, albo nią będzie, — uśmiechnęła się, — moja w tem głowa.

— Dziękuję pani, nie zasłużyłem na tyle dobroci.

Naturalnie, Roman odprowadził Filarków do samego domu; powtórzyły się zaprosiny, trochę mniej serdeczne ze strony ojca, ale tem czulsze ze strony panny.

Rozmarzony Roman uczuł niechęć do rozmowy z matką i siostrą, one bowiem nie znając Mani, nie mogły mieć wyobrażenia o jej piękności i zaletach, a przeczuwał żarty i drwiny Irenki, gdyby się wyspowiadał ze swych uczuć.

Korzystając z pogodnego, mroźnego poranka, szedł przed siebie i przypadkowo znalazł się u wylotu Wolskiej ulicy. Ujrzał przepiękny krajobraz: w oddali wznosiła się mogiła Kościuszki, błyszcząca brylantowo, jakby spowinięta aureolą białych ogni. Na widnokręgu czerniały lasy, a z wielkich równin przynosił wiatr świeży, orzeźwiający oddech z pól i lasów. Ten widok spokoju, ciszy i blasków dostrajał się harmonijnie do jego uczuć, równie czystych i bezinteresownych, a wyobraźnia podniecona uczuciem dla Mani, ukazywała mu ją, jako postać unoszącą się nad ziemią, ubraną w białe szaty dziergane brylantowymi blaskami. Zbudziła go z tych marzeń konieczność udania się do fabryki i spełnienia swych obowiązków.

Dopiero na obiad zjawił się w domu, witany z niespokojną radością przez matkę i siostrę.

— Gdzieżeś był Romciu do tej pory?

— Wracam wprost z fabryki, zmęczony jestem, — usiadł.

— Z fabryki? — zdziwiła się. — W białej krawatce? w smokingu?

— Cóż to szkodzi? — uśmiechnął się — nie zwróciłem na to wcale uwagi.

— Romek, dobrze bawiłeś się? — usiadła przy nim Irena, a matka wyszła do kuchni.

— Bardzo dobrze, tańczyliśmy do białego dnia.

— No, a jakie towarzystwo?

— Hm... dosyć dobrane, i wiesz Irenko, co ci powiem? że niewiasty tutejsze są o wiele przyjemniejsze, aniżeli mężczyźni.

— Pod jakim względem?

— Pod jakim? — chwilę się namyślał, — no, nie mają tych zastawek mózgowych, rangi, awansy, ordery, wiesz, ten cały tłomok biurokratyczny.

— To naturalne, ale zawsze są to małomieszczanki, z prowincyi, — uśmiechnęła się, — nie to, co u nas.

— Ale gdzieżtam! nie mówię wszystkie, ale są takie, które przewyższają nawet Warszawianki.

— Zwłaszcza jedna, nieprawdaż? — zaśmiała się, — co, Romku, przyznaj się, — i wznosząc oczy do góry, z ręką na sercu, przedrzeźniała deklamacyę: — ach! ona!... ta niezrównana!... ta idealna!... co za wdzięk! jaka dusza! — i nagle wracając do zwykłego tonu: — Romku, Romku, wstyd mi takiego brata! Ledwieś ujrzał, już płoniesz...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ćwiczenia strzeleckie gimnazyalistów.

Odbywające się w myśl rozporządzenia ministeryum oświaty po szkołach średnich kursy strzelania dobiegają końca i każdy prawie tydzień przynosi ich zakończenie, w postaci strzelania premiowego.

Przed kilkunastu dniami został ukończony kurs nauki strzelania w gimnazyum w Podgórzu. Kurs ten odbywał się pod kierownictwem majora 16 p. obr. kraj. Freisingera, nadporucznika 20 p. piechoty Kunzelmanna oraz prof. Mossoczego. Uczestniczyło w kursie 38 uczniów. W strzelaniu premiowem pierwszą nagrodę zdobył uczeń VIII kl. Z. Kramer, drugą uczeń VII kl. K. Hubicki, następne cztery J. Trojanowski, W. Śmietana, M. Rittmann i J. Zinków.

Cały kurs odbywał się w strzelnicy wojskowej na Zakrzówku, a chętnej pomocy w jego wyekwipowaniu udzieliły komendy 16 i 20 p. p.

Illustracya nasza przedstawia uczniów gimnazyum podgórskiego na strzelnicy wojskowej w Zakrzówku, oraz ćwiczenia strzeleckie uczniów gimnazyum polskiego w Przemyślu.



Ćwiczenia strzeleckie gimnazyalistów: Uczniowie gimnazyum podgórskiego podczas ćwiczeń na strzelnicy wojskowej w Zakrzówku.



Ćwiczenia strzeleckie gimnazyalistów: Uczniowie kl. VII. i VIII. gimnazyum polskiego w Przemyślu z dyrektorem i kierownikami kursu strzelania. (Fot. M. Todt, Przemyśl)

Opieka nad sierotami.

Do najnieszczęśliwszych istot należą sieroty i opuszczone dzieci, już w zaraniu swego życia skazane na głód i nędzę... W każdem mieście, niestety, jest mnóstwo tych nieszczęśliwych istot, które, osierocone i pozbawione opieki rodzicielskiej, marnieją i giną na bruku. To też jednem z najbardziej palących zadań społecznych jest ratowanie tych młodocianych istnień. W tym celu powstają w miastach instytucye, w których sieroty i opuszczone dzieci znajdują przytułek i opiekę, a w ten sposób społeczeństwo odzyskuje niejedną dzielną jednostkę.

Podobnie, jak w innych miastach, także i w Przemyślu ta humanitarna a tak doniosła dla społeczeństwa akcya uczyniła w ostatnich czasach znaczne postępy. Do niedawna, w dzielnicy tego miasta, po lewej stronie Sanu położonej, Zasaniem zwanej, zamieszkałej w znacznej części przez ludność ubogą, dawał się odczuwać brak zakładu wychowawczego dla opuszczonych sierót. Dzięki jednak inicyatywie i staraniom p. Wandy Podlaszeckiej zawiązało się tam w roku 1907 stowarzyszenie pod nazwą „Opatrzność Boża", które niebawem przystąpiło do otwarcia „Domu pracy dla opuszczonych sierót".

Protektorat Zakładu przyjął biskup przemyski, ks. Józef Pelczar, opiekę duchowną ks. biskup Karol Fiszer, sufragan przemyski, zaś prowadzenia Zakładu podjęły się Siostry Opatrzności. — Zakład rozwija się pomyślnie i utrzymuje obecnie 30 sierót, dając im wychowanie i naukę w zakresie 4 klas szkoły ludowej, tudzież ucząc je praktycznie kucharstwa, prania i prasowania bielizny, ogrodnictwa, szycia i haftu, stosownie do ich uzdolnienia.



Opieka nad sierotami: Dom pracy pod wezwaniem św. Józefa dla opuszczonych sierot w Przemyślu. W środku siedzi protektor zakładu ks. biskup Fiszer. (Fot. „Helios", Przemyśl)



Pierwsze zwycięstwo Włochów: Przybycie do Caserty jeńców tureckich, wziętych do niewoli na wyspie Rodos.

Funduszów na utrzymanie sierot dostarcza Towarzystwo „Opatrzność Boża“, którego przewodniczącą jest p. Leontyna Chylińska, skarbniczką p. Ludmiła Sontagowa a sekretarką p. Helena Wilecka. — Towarzystwo czerpie swe dochody z miesięcznych składek członków, z urządzanych na ten cel festynów, rautów i t. d. tudzież nadzwyczajnych ofiar.

Od chwili otwarcia zakładu, urządzono przy nim szwalnię, gdzie pobierają naukę bezpłatną, prócz dziewcząt zakładowych, dochodzące ubogie dziewczęta, które po ukończeniu kursu robót, otrzymują wynagrodzenie za ukończoną robotę.

Pierwsze zwycięstwo Włochów.

We Włoszech zapanował znowu wielki entuzyazm dla wojny. Armii włoskiej udało się wreszcie stoczyć z regularnem wojskiem tureckiem prawdziwą bitwę i odnieść niebywały dotychczas sukces. Stało się to na wyspie Rodos, o zajęciu której pisaliśmy już w poprzednich numerach. Wylądowanie armii włoskiej na Rodosie i innych wyspach tureckich, tak samo jak zajęcie wybrzeża trypolitańskiego, nie było rzeczą zbyt trudną wobec faktu, iż Turcya nie posiada prawie wcale wojennej marynarki... Można było jednak przypuszczać, że na wyspie Rodos, gdzie Turcy mieli dobrze uzbrojony, a liczący około 3000 żołnierzy oddział regularnych wojsk, zacznie się znowu okres walk, niezbyt pomyślnych dla Włochów. Turcy rzeczywiście cofnęli się w głąb wyspy, na wzgórza i tam, około miejscowości Psithos, silnie ufortyfikowali. Włosi postanowili wszakże jeszcze raz spróbować szczęścia w walce lądowej. Jenerał włoski Ameglio na czele 10.000 żołnierzy ruszył do ataku na pozycye tureckie. Walka trwała prawie 2 dni i skończyła się zupełnem zwycięstwem Włochów. Turcy, otoczeni przez wojska włoskie i straciwszy kilkuset zabitych i rannych, wywiesieli białą chorągiew. Cały oddział turecki, liczący przeszło



Pierwsze zwycięstwo Włochów: Internowany w Casercie przewodniczący komitetu młodotureckiego na wyspie Rodos, Rifat Hamid (X).



Pierwsze zwycięstwo Włochów: Wzięty do niewoli wali Rodosu Sudhi-bey (X) w Casercie.

2 000 żołnierzy i 23 oficerów dostał się do niewoli. Włosi zdobyli przytem 4 000 karabinów, 2 baterye dział i wiele amunicyi...

Jakkolwiek taki wynik bitwy wobec znacznej przewagi sił włoskich, nie daje powodu do zbytnich tryumfów, w dotychczasowym jednak przebiegu wojny stanowi pierwsze zwycięstwo Włochów i faktyczną klęskę Turków, którzy po raz pierwszy kapitulowali z tak licznym oddziałem wojska... To też Włosi tryumfują. Wziętych na wyspie do niewoli jeńców, wśród których oprócz wojska znajduje się wali Rodosu i przewodniczący miejscowego komitetu młodotureckiego, przewieziono do Włoch i internowano w Casercie, a ten fakt wywołał w całych Włoszech nieopisany entuzyazm.

Egzekucye w Fezie.

Jak dotychczas, ostatni sukces polityczny Francyi — objęcie protektoratu nad Marokkiem — obarczył polityków francuskich bardzo trudnem zadaniem...Zatarg francusko niemiecki o wpływy w Marokku skończył się wprawdzie układem międzynarodowym na korzyść Francyi, ale Marokkańczycy, poza plecami których Europa rozstrzygnęła losy ich kraju, nie przyjęli bynajmniej z zadowoleniem tej „opieki“. Ulegli pod przemocą, a przy lada okazyi dają wyraz swej nienawiści do narzuconych im francuskich protektorów...

Tak było podczas ostatnich rozruchów w Fezie, gdzie zbuntowani żołnierze marokkańscy, dopuszczając się rabunków w mieście, napadli i zabili kilku członków francuskiej misyi wojskowej... Wojska francuskie musiały tam staczać formalne bitwy z rewolucyonistami, a obecnie po krwawem stłumieniu rozruchów — władze francuskie „umacniają“ swój autorytet egzekucyami, dokonywanymi na Marokkańczykach, oskarżonych o napady na francuskich poddanych. W tych dniach stracono w Fezie kilku tubylców, którzy podczas buntu napadli i zamordowali kilku francuskich oficerów.

Illustracya nasza przedstawia zwłoki skazańców, rozstrzelanych przez żołnierzy francuskich.



Egzekucye w Fezie: Zwłoki Marokkańczyków, rozstrzelanych w Fezie za zamordowanie kilku członków francuskiej misyi wojskowej.

Z życia kolejarzy w Stryju.

Stryj, obok Stanisławowa stanowi jedną z większych placówek wschodnio-galicyjskich, gdzie koncentruje się życie towarzyskie kolejarzy, należących do wschodnich dyrekcyi kolejowych. Istnieje tam kilka stowarzyszeń kolejowych, o różnych zabarwieniach politycznych i ekonomicznych, wśród których „Klub konduktorów“ jedno z pocześniejszych miejsc zajmuje.

Przed kilkunastu dniami klub ten żegnał uroczyście ustępującego po długich latach sumiennej pracy nadinspektora kol. Jana Bartla. Jako członek wspierający klubu, pracował p. Bartel gorliwie nad jego rozwojem, dopomagając radą i czynną pomocą.

W dowód wdzięczności i w uznaniu zasług ustępującego kierownika i przełożonego, konduktorzy stryjscy uczcili go cichą uroczystością w ramach stowarzyszenia. W uroczystości tej oprócz członków Klubu uczestniczyło grono zaproszonych gości, między innymi ks. Kanonik Sliwak, inspektor Dembowski, zast. naczelnika Kułakowski, urzędnicy i t. d.

Illustracya nasza przedstawia powitanie nadinspektora Bartla u wejścia do lokalu Klubu.



Z życia kolejarzy w Stryju: Uczestnicy pożegnalnej uroczystości na cześć ustępującego nadinspektora Bartla (X) przed Klubem konduktorów w Stryju

Swięto lalek w Japonii.

Wśród wielu świąt różnego rodzaju, jakie obchodzi Japonia, jedno z poczesnych miejsc zajmuje „święto lalek“. Nazywa się ono po japońsku Hina-Matsuri, a obchodzone bywa trzeciego dnia w trzecim miesiącu (marcu) we wszystkich rodzinach, które mają małe dziewczątka. Dzień ten, który w Japonii przypada równocześnie z pierwszymi promieniami wiosennego słońca i kwiatów wiśniowych, jest dniem radości dla dziewcząt, które pięknie wystrojone odwiedzają się wzajemnie i obdarowują lalkami, oraz ugaszczają pieczywem z ryżu i winem ryżowem.



Święto lalek w Japonii: Domek wiejski dla lalek z kwitnącymi wiśniami, u góry półeczka z lalkami, przedstawiającymi orszak królewski.

Największy i najpiękniejszy pokój w każdym domu zamienia się na pałac lalek. W niszy pokoju, zwanej Tokonoma, ustawiany bywa zwykle miniaturowy pałac królewski, w którym króluje para królewska w wspaniałych starojapońskich kostyumach. Obok pałacyku pomieszczona jest miniaturowa orkiestra, zaś przed pałacem stoją dwaj strażnicy, a na miniaturowych stołach z laki ustawione są dary, składające się z wina ryżowego i słodyczy.

Na przeciwległej ścianie pokoju, na białych deskach ustawiony bywa zwykle mały teatrzyk. Lalki wykonują na jego scence starojapoński taniec, zwany „No“. Oprócz tych zwyczajowych grup na półeczkach rozstawiają dziewczątka japońskie cały swój dziecięcy dobytek, a więc pasterzy pasących trzody pod kwitnącymi wiśniami, starojapońskie latarnie, pudełka, skrzynie i komody, robione na podobiznę tych, w których Japonki przechowują wyprawę ślubną, wreszcie mnóstwo lalek różnej wielkości.

W pokoju gościnnym w dniu święta lalek bywa zawieszany w niszy obraz, przedstawiający dwie lalki w starożytnych kostyumach, mężczyznę i kobietę. W ubogich domach, gdzie dzieci nie posiadają tyle lalek, przynajmniej to malowidło w gościnnej izbie musi być zawieszone.

O pochodzeniu tego święta opowiadają podania, iż miało ono dawniej znaczenie symboliczne i było świętem niszczenia zła w postaci lalek.



Święto lalek w Japonii: Miniaturowa scenka z lalkami-aktorami.

Sztuka dla ludu.

Obok Kółek rolniczych i Czytelni ludowych w ostatnich czasach rozwinęły po wsiach Galicyjskich, zwłaszcza we wschodniej Galicyi, ożywioną działalność nowe organizacye oświatowe, zwane „Drużynami Bartoszowymi“. Powstają one po wsiach obok dotychczasowych organizacyi ekonomicznych i społecznych, a jednym z głównych ich celów obok uprawiania gimnastyki jest pielęgnowanie wiejskich stroiów ludowych.

Drużyny Bartoszowe rozwinęły się w stosunkowo krótkim czasie tak dobrze, że nie tylko urządzają już własne zjazdy, ale wydają także własny organ. Ażeby obok poważnej pracy dostarczyć swym członkom także i rozrywki Drużyny Bartoszowe organizują w swem łonie teatry włościańskie.

W ostatnim czasie taką trupę dramatyczną zorganizowała lwowska Drużyna Bartoszowa. W skład zarządu kółka dramatycznego weszli pp. Bastgen jako przewodniczący, J. Skowroński jako zastępca przew. J. Reisinger (reżyser), T. Nowak (sekretarz) F. Czornobaj (skarbnik) i L. Nuzikowski (rekwizytor).



Sztuka dla ludu: Kółko dramatyczne drużyny Bartoszowej we Lwowie. (Fot M. Münz Lwów).

Zwrot w polityce niemieckiej.

Stosunki Niemiec do państw europejskich co chwila ulegają jakimś zmianom. Pragnąc za wszelką cenę utrzymać swoje dominujące stanowisko w koncercie mocarstw europejskich, Niemcy szukają sojuszników nieraz w sposób dosyć ryzykowny.

W ostatnich czasach podjęły Niemcy nowy kurs swojej polityki. Pod pretekstem wspólności interesów na terenie tureckim, usiłują zbliżyć się do swej rywalki Anglii i albo zawrzeć z nią sojusz, albo też uśpić jej czujność tak długo, aż flota wojenna Niemiec stanie się tak silną, że potrafi wystąpić do otwartej walki z flotą angielską.

Zręczną tę grę dyplomatyczną poprowadzić ma nowy ambasador niemiecki w Londynie, który po hr. Pawle Wolff-Metternichu w tych dniach objął to stanowisko. Jest nim długoletni ambasador niemiecki w Konstantynopolu, bar. Marschall von Bieberstein. Od szeregu lat zręcznie i korzystnie prowadził on oryentalną politykę Niemiec, a obecnie mimo podeszłego swego wieku został przez ces. Wilhelma przeznaczony do odegrania roli męża opatrznościowego między obu poważnionymi sąsiadami.

Krok ten ma doniosłe znaczenie polityczne, a następstwa jego niebawem się okażą.



Zwrot w polityce niemieckiej: Bar. Marschal von Bieberstein, nowy ambasador niemiecki w Londynie.

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

9) Tłum. z francuskiego.

— Dobrze! pragnę pani przyznać słuszność, chociaż zdaje mi się to zbyt pospiesznem. Za mało czasu upłynęło od chwili, kiedy pani widziała po raz ostatni swych lokatorów, do ich zniknięcia, co do którego nie mamy zresztą żadnych dowodów...

— Żadnych dowodów?

— Oprócz pani zeznania oczywiście... ale to nie wystarcza...

— Dobrze, a łóżka nietknięte? a kasetka pusta?...

— To są tylko proste przypuszczenia... Można je zwrócić przeciw pani...

— Jakto?

— Bez wątpienia... Klejnoty z kasetki zniknęły— to prawda, ale pan Bridgeton mógł je schować gdzieindziej... co do łóżek — to nic prostszego — może państwo Bridgeton nie chcieli nocować w domu...

— Ale przecież widziałam, jak wracali!

— Niech pani przypuści, że to nie ja z panią mówię, ale sędzia śledczy. Co mu pani odpowie? Nic — niech mi pani wierzy — nie śpieszmy się z decyzyą. Poczekajmy trochę, aż będziemy mieli jakiś dowód. Tak będzie rozsądniej. Jeżeli do jutra rana państwo Bridgeton nie zjawią się — niech pani zajdzie do mnie o tej samej porze. Wówczas coś obmyślimy.

I pan Maugron podniósł się, żeby dać do zrozumienia odźwiernej, że posłuchanie skończone.

Nagle rozmyślił się.

— Tymczasem — rzekł — może pani jedno zrobić — dać mi opis swych lokatorów.

— Doskonale! — zgodziła się pani Rouve pośpiesznie.

I z właściwą sobie wymową opisała szczegółowo wygląd jubilera.

— Co do pani Bridgeton, to jeszcze łatwiej ją poznać. Ma ona twarz, której niepodobna zapomnieć. Można ją odróżnić wśród tysięcy, dzięki jej dziwnym jasno zielonym oczom, które bardzo oryginalnie wyglądają przy jasnych włosach. A te włosy — muszę się panu przyznać — włosy są farbowane...

— Jakto, farbowane? — zapytał p. Maugron, otwierając szeroko oczy.

— Ależ tak, panie komisarzu — ma niby blond włosy, ale jestem pewna, że jest brunetką. To można poznać po brwiach...

— Brunetka z zielonemi oczami? — zawołał komisarz, zrywając się. Czy pani jest tego pewną?

— Jakto — czy jestem pewną? — odparła pani Rouve, wzruszając ramionami.

Pan Maugron nie słuchał dalej. W umyśle jego powstało dziwne podejrzenie. Chwycił szybko laskę i kapelusz i rzekł do odźwiernej.

— Muszę to zobaczyć. Proszę mi wskazać drogę. Przybywszy do mieszkania Bridgetonów — komisarz począł badać je z pewnego rodzaju zaciekłością. Przeszedł kolejno wszystkie pokoje, zajrzał do każdego kąta w nadziei, iż znajdzie jakiś ważny ślad.

Zawiódł się mocno. Nie znalazł nic, prócz sukni wieczorowej, którą pani Rouve poznała bez wahania, twierdząc, iż w niej to właśnie pani Bridgeton była poprzedniego wieczoru, gdy wracała z teatru.

Ale ten dowód potwierdził tylko zeznania odźwiernej, nie polepszając zresztą w niczem sprawy. P. Maugron wolałby, zamiast sukni znaleźć jakąkolwiek fotografię młodej kobiety, ale to mu się nie udało. Nie znalazł wogóle nic, co mogłoby mu dać jakieś wytłumaczenie. Bridgeton znikł — to było widoczne — i znikł w taki sposób, iż to przechodziło wyobraźnię. Co do dziwnych podejrzeń, dotyczących żony jubilera, to p. Maugron miał na drugi dzień zupełne potwierdzenie w depeszy, otrzymanej z Bostonu, z której okazywało się jasno, że jubiler wpadł w sidła podejrzanej awantury.

Jubiler z Bostonu, który — jak przypominamy sobie — miał polecić panią Ellen Ferrys i jej ciocię państwu Morgenstern — telegrafował, że nigdy nie znał tych pań nawet z nazwiska. Listu polecającego nigdy nie pisał.

Z drugiej strony dramatyczna historya o rozwodzie i samobójstwie męża pijaka, gracza, brutala, okazała się zmyśloną od początku do końca.

Bankier, u którego miały być ulokowane kapitały młodej kobiety — oznajmił, że nigdy nie słyszał o podobnej klientce.

Wreszcie, po zebraniu dokładnych informacyi od wszystkich, którzy znali bliżej panią Bridgeton — nie można się było już łudzić, że znowu miano do czynienia ze sławną kobietą o zielonych oczach, nieuchwytną wspólniczką Fabrykanta mumii.

Policya — jak zwykle w takich wypadkach — została oszukana i przyszła za późno. Usilne poszukiwania pozostały bez rezultatu. Tajemnicza awanturnica musiała już być daleko i w jakiejś bezpiecznej kryjówce drwiła sobie z poszukiwań policyi.

ROZDZIAŁ VII.

Akademia.

O godzinie ósmej rano, rozparty niedbale w otwartym automobilu p. Ducroc pędził przez Pola Elizejskie. Było to wczesną wiosną. Na jasno błękitnem niebie płynęły drobne białe chmurki. Na drzewach pękały pączki, wypuszczając pierwsze listki, ptaki świergotały wesoło; robotnicy, subjekci, urzędnicy biurowi, śpieszący do pracy, zdawali się patrzeć ra żniej na świat, tego wiosennego poranku, pełnego zapachów i podniecającej świeżości. Zimna, obojętna zwykle twarz szefa bezpieczeństwa wyrażała również radość. Wypływała ona jednak z innych pobudek. Powrót wiosny, zbudzenie się natury z długiego zimowego snu nie obchodziły nic pana Ducroc. Spieszył on na spotkanie, wyznaczone mu w cyfrowanej depeszy przez sławnego Sebastyana Blanca i to było przyczyną, że oczy jego błyszczały, a na twarzy malowało się rzadko na niej goszczące, głębokie istotne zadowolenie.

Okrążywszy łuk tryumfalny Gwiazdy, automobil skręcił w jedną z bocznych alei Lasku Bulońskiego i minąwszy ulicę Chalgrin, zatrzymał się przed wspaniałym domem, noszącym Nr. 26.

— Przepędzę tu prawdopodobnie cały ranek — rzekł prefekt do szofera, wyskakując z automobilu. — Nie masz po co czekać. Przyjedź do biura punkt o drugiej.

P. Ducroc otworzył furtkę z kutego żelaza i małą aleją, wysadzoną krzakami różanemi, doszedł do wspaniałej loży portyera.

— Pan Durmoy? — zapytał odźwiernego w ciemno zielonej liberyi ze złoconemi guzikami, który wstał pospiesznie i skłonił się głęboko, odpowiadając z uszanowaniem:

— Pan Durmoy jest u siebie... Jeżeli pan szef bezpieczeństwa zechce pofatygować się...

P. Ducroc skinął głową i wszedł na schody. Gdyby ktoś chciał na niego czekać przy loży odźwiernego, straciłby czas napróżno.

W kwadrans później schodami kuchennemi, wychodzącemi na ulicę Chalgrin, schodził jegomość o blond włosach i wąsach, ubrany w czapkę, wyglądający na lokaja z angielskiego domu.

Z rękami w kieszeniach, pogwizdując jakąś piosenkę, skręcił w Avenue de la Grande Armée. Skinął na przejeżdżającego fiakra i wsiadając, rzucił woźnicy adres:

— Ulica Richelieu, hotel des Landes.

Potem, podczas gdy powóz toczył się dość szybko w stronę Pól Elizejskich, jegomość zatarł ręce z radością i mruknął:

— No, dobrze idzie!

W niespełna kwadrans fiakier wjechał w ulicę Richelieu i zatrzymał się przed skromnie wyglądającym, niewielkim hotelem, na froncie którego umieszczony był czarny szyld z napisem złotemi literami:

„Hotel des Landes".

Zapłaciwszy dorożkarza, jegomość wszedł do hotelu. Przeszedł szybko przez długi i wąski korytarz i nacisnął klamkę drzwi, znajdujących się w głębi. Przy otwieraniu tych drzwi rozległ się dźwięk dzwonka elektrycznego i natychmiast z biura hotelowego, położonego obok, wyszła szczupła, skromnie ubrana kobieta. Przyjrzała się uważnie przybyłemu i już otwierała usta, by zapytać, czego sobie życzy, gdy ten zrobił jakiś ruch ręką i kobieta zawołała, głęboko zdziwiona:

— Ach, to pan, panie... panie Thouvenet... nigdybym pana nie poznała!...

Ale przybyły położył palec na ustach, nakazując milczenie. Wówczas kobieta wbiegła do biura i przyniosła stamtąd klucz, który w milczeniu podała gościowi.

Pan Thouvenet wszedł na schody i zatrzymał się na szóstem piętrze, gdzie otworzył jeden z pokoi otrzymanym kluczem. Wszedłszy do pokoju, wychodzącego na ulicę Montpensier, zamknął za sobą starannie drzwi na klucz, poczem zdjął czapkę, odkleił wąsy i zrzucił perukę. Ukazała się gładko wygolona twarz pana Ducroc.

— No, — rzekł, zażywając tabakę ze srebrnej tabakierki, która go nigdy nie opuszczała w ważniejszych chwilach życia — trzeba wdziać teraz skórę pana Thouvenet, rentiera.

Z temi słowy otworzył wielką szafę ścienną, pełną najrozmaitszych ubrań i wyjął zniszczony garnitur marynarkowy, okrycie kasztanowego koloru i melonik z szerokimi brzegami.

— Kostyum spacerowy tego dobrego pana Thouvenet — rzekł, śmiejąc się.

Poczem wyjął z półki, znajdującej się w szafie, lampkę spirytusową i spore pudełko, zawierające wszystkie przybory, potrzebne do charakteryzacyi.

— Zróbmy najpierw twarz — ciągnął, wciąż uśmiechając się wesoło.

Włożył perukę ze sterczącą czupryną, nakleił gęste brwi, zasłaniające prawie zupełnie oczy i przyprawił szeroką, krótką brodę.

— No — zawołał, przeglądając się z zadowoleniem w lustrze — oto wykapany pan Piotr Thouvenet. Pozostaje mi teraz tylko utyć i wszystko będzie w porządku.

Zdjąwszy ubranie, p. Ducroc wciągnął na siebie kostyum gumowy, podobny do trykotu i przylegający szczelnie do szyi i u końców nóg i rąk. W otwór, znajdujący się w tym dziwnym stroju, wkręcił pompkę automobilową i począł wpompowywać do wnętrza powietrze. W kilka chwil trykot gumowy napełnił się i p. Ducroc, włożywszy na to kostyum marynarkowy, wyglądał na otyłego jegomościa z solidnym brzuszkiem.

Zarządzająca hotelem, wyjrzawszy z biura na odgłos kroków — otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, widząc p. Thouvenet tak zmienionego.

— Udało mi się po raz drugi — mruknął p. Ducroc, skręcając na ulicę Valois, nie zadając sobie nawet trudu obejrzenia się, tak był pewny, iż nikt go nie śledzi.

Na placu Palais Royal wsiadł do omnibusu i w dwadzieścia minut później wysiadł zeń na placu włoskim. Stąd rozchodziło się kilka ulic. Prefekt zastanowił się przez chwilę i ruszył ulicą de la Soeur Rosalie. Przeszedłszy całą jej długość — zagłębił się w sieć wąskich, krzywych uliczek, pełnych szynków, nor najbardziej podejrzanych, w których nocami na równi z winem — krew lała się obficie. Na jednym z takich zaułków zatrzymał się przed starym jednopiętrowym domem z facyatkami.

Tu mieścił się szynk, nazwany niewiadomo przez kogo i niewiadomo kiedy „akademią". Nazwa ta utrzymała się i utarła między apaszami i złodziejami tej dzielnicy, którzy schodzili się między dziesiątą wieczór i trzecią z rana.

Twierdzono, iż dzięki tolerancyi policyi zakład ten często bywał otwarty przez całą noc i że właściciel jego, dawny ajent policyjny — pozostawał w tajnych stosunkach ze służbą bezpieczeństwa. P. Ducroc pchnął bez wahania drzwi szynku i znalazł się w niskiej sali, o suficie zakopconym, napełnionej duszącemi wyziewami alkoholu i dymu tabacznego.

W sali, oprócz żuawa-urlopnika — nie było gości.

Wysoki drab z twarzą gładko wygoloną i krótko ostrzyżonemi czarnemi włosami mył podłogę.

Przy wejściu p. Ducroca — podniósł głowę, przyjrzał się szybko i bacznie przybyłemu, przyczem wargi jego poruszyły się nieznacznie, jak gdyby powstrzymując uśmiech.

W rogu sali, przy stole pod oknem siedział olbrzymi mężczyzna, zajadając ze smakiem kawał chleba ze serem i popijając to obficie białem winem. Tak był zajęty swem śniadaniem, że nie odwrócił się nawet na odgłos otwieranych drzwi. P. Ducroc podszedł doń i uderzył silnie po ramieniu:

— Cóż to, ojcze Bazoche, już się nie wita dobrych znajomych?

Olbrzym odwrócił się powoli, żeby zobaczyć, kto pozwala sobie na podobne żarty i odparł.

— Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli znam pana!

— No — ciągnął szef bezpieczeństwa tonem wymówki — nie widujemy się co prawda często... Ostatni raz było to przed dziesięciu laty... Do licha, nie zawsze można sobie pozwolić na podróż do Paryża. Środki ograniczone... No — ale w każdym razie pochodzimy obaj z jednych stron, ojcze Bazoche.

— Z jednych stron?... — zapytał szynkarz, robiąc nadludzkie wysiłki, żeby wydobyć z mroków zapomnienia tę twarz.

— No tak — ciągnął prefekt... Niech pan sobie przypomni małego Thouvenet...

— Małego Thouvenet? — powtórzył Bazoche, przyglądając się w osłupieniu otyłemu gościowi.

— To prawda — utyło się nieco od tego czasu — rzekł p. Ducroc z głośnym śmiechem. W czasach, kiedy grywałem z panem w bilard — wyglą-

dałem trochę inaczej. No, ale przecież niemożliwe, żeby pan nie przypomniał sobie...

Mówiąc to. p. Ducroc uchylił okularów i spojrzał na ojca Bazoche, mrużąc oczy tak wyraziście, że ten zadrżał. Zdawało się, że pamięć wróciła mu w jednej chwili, gdyż zerwał się na równe nogi, o mało nie wywróciwszy stołu i krzyknął:

— To dopiero komedya! Nigdybym pana nie poznał, panie... panie Thouvenet, ale pan wie, że kiedy się o kimś nie myśli...

— Sza! — rzekł szeptem Ducroc, wskazując wzrokiem człowieka, który mył podłogę i który obserwował ich nieznacznie z ironicznym wyrazem twarzy, jak ktoś, przed kim grają komedyę i kto doskonale o tem wie.

— Do dyabła! — ciągnął szynkarz — teraz poznaję pana doskonale, panie Thouvenet... Ale — á propos to o pana dowiadywano się tu przed pół godziną?

— Właśnie chciałem o to zapytać, ojcze Bazoche.

— Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska — co prawda wogóle trudno było coś zrozumieć. Jegomość, który pytał o pana, mówił tak dziwacznie, że ani rusz było pojąć, o co mu chodziło. Musi być Alzatczykiem... Tyle mogłem wyrozumieć, że miał się tu z panem spotkać dziś rano.

— Tak.

— Nazywa się Chameau.

— Jamot — poprawił Ducroc.

— Niech będzie Jamot... Powiedział, że za pół godziny wróci — a! — otóż i on!

Drzwi szynkowni otworzyły się szeroko i wszedł dziwny osobnik. Na krzywych pałąkowatych nogach osadzony był krępy korpus. z jednem ramieniem wyższem od drugiego. Nad tem wznosiła się głowa okrągła jak bania z jedynem okiem. Drugie zasłaniał plaster z kitajki. Za dziwacznie wyglądającym jegomościem postępował krok w krok pies o mądrych oczach.

Drab, myjący podłogę, obrzucił człowieka i psa bystrem spojrzeniem i powrócił do swego zajęcia.

— A! pan Douvenet — zawołał wchodzący wyciągając rękę do Ducroca — bardzo jestem sześliwy, sze pana widzę... Ja już tu pyłem...

— Spóźniłem się trochę, drogi panie Jamot — tłumaczył się prefekt.

— O! nis nie szkozi! — przerwał żywo pan Jamot... Proszę mi tarować niesierpliwość... Pan fie, sze ja się zawsze śpieszę!

Później, zwracając się do ojca Bazoche — dodał...

— Tszy nie ma pan jakiego kąsika, kdzie moglibyśmy pomówić o naszych interesach.

— Proszę bardzo, proszę panów tutaj — odparł grzecznie szynkarz, wprowadzając swych gości do niewielkiej salki, z oknem wychodzącem na podwórze. — Tu nikt panom nie przeszkodzi.

— Co panowie pozwolą?

— Ja — rzekł prefekt — napiłbym się czego...

— Absyncik? — tak? a pan, panie Jamot?

— To samo.

— Dwa absynty — w tej chwili!

ROZDZIAŁ VIII.

Mury mają uszy.

W parę chwil później wielki drab, który mył podłogę w sali, przyniósł żądany absynt.

Przy jego wejściu, pies zwinięty w kłębek za krzesłem pana Jamot podniósł mordę, obwąchał nogi garsona, gdy ten zbliżył się do stołu i nagle warknął tak zajadle, że aż sam p. Jamot drgnął.

Nalewając po kropli wodę do absyntu, obserwował swem jedynem okiem garsona, który zamiast wyjść, podszedł do okna i wyglądał niem z wielkiem zainteresowaniem, bębniąc palcami po szybie. Było widocznem, że za wszelką cenę chce pozostać jak najdłużej w pokoju. Nie podobało się to mocno panu Jamot.

— Coś w tem jest — pomyślał i uspokoiwszy psa, zwrócił się żartobliwie do garsona:

— Słuchajno, mój klopcze, moszebyś zekciał paszeć przez jakie inne okno?

Była to wyraźna odprawa i garson posłusznie opuścił pokój.

To nie wystarczało panu Jamot, gdyż sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte, zajrzał przez dziurkę od klucza i wtedy dopiero, uspokojony, powrócił na swe miejsce.

— Gratuluję, panie szefie! — zaszeptał zupełnie innym głosem, bez akcentu niemieckiego... — Gratuluję, przeszedł pan samego siebie... Ja sam nie potrafiłbym lepiej tego zrobić. Pański Touvenet jest znakomity.

— Czego dowodem, że sam Bazoche nie poznał mnie — dodał p. Ducroc z wielkiem zadowoleniem... — Ale pan sam, drogi Sebastyanie...

— Sza!... — rzekł p. Jamot, kładąc szybko dłoń na ustach Ducroca.

Był to Sebastyan Blanc, sławny detektyw, mistrz, którego pochwała powinna była bardzo pochlebiać miłości własnej szefa, gdyż przez trzy czwarte swego życia był ucharakteryzowany i mało kto z jego ko-



Mówiąc to, pan Ducroc uchylił okularów i spojrzał na ojca Bazoche.

legów mógł się pochwalić, że widział jego twarz prawdziwą.

— Nie trzeba wymawiać naszych nazwisk — ciągnął Blanc, rzucając niespokojne spojrzenia na drzwi. — Proszę mnie nazywać Jamot i to jak najgłośniej, tak będzie lepiej, proszę mi wierzyć! Tu ściany mają uszy.

Ducroc patrzył nań ze zdziwieniem, szeroko otwierając oczy.

— Chce pan dowodu? — zapytał detektyw. — Niech pan mówi głośno i patrzy, co będę robił.

Podniósł się bez szelestu i nakazawszy giestem psu, żeby się nie ruszał, podszedł na palcach do drzwi, tu słuchał przez chwilę, poczem otworzył raptownie drzwi, które uderzyły człowieka, zajętego zbieraniem kurzu do śmietniczki.

— O! przepraszam bardzo — zawołał pseudo-Jamot, powracając do swego straszliwego akcentu. — Przepraszam! Nie srobilem nis slego? No to prosze jeszcze kolejkę absyntu.

— Służę panu — odparł garson, wstając — w tej chwili podam.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał p. Ducroc, gdy garson, podawszy absynt, opuścił pokój.

— To znaczy, drogi panie, że poprostu wiedzą o naszem dzisiejszem spotkaniu.

— Wiedzą?

— Naturalnie. Pomimo wszystkich ostrożności, jakie przedsięwzięliśmy, pomimo doskonałego przebrania, „tamci“, widocznie bardziej chytrzy od nas, przewąchali sprawę. Zresztą przyznaję się, że podejrzewałem to od chwili, gdy tu wszedłem...

— Ale na czem pan to opiera?

— Na czem opieram? Na całym szeregu drobnych, pozornie nic nie znaczących faktów, obserwacyi, które w sumie dają cały pęk dowodów. Wreszcie mam niezawodny kamień probierczy, przy pomocy którego poznaję, że tu jest „niedobrze“.

— Kamień probierczy?

— Tak — w postaci tego psa. Proszę spojrzeć — Frisguet nie może usiedzieć na miejscu. Gdybym mu pozwolił, kręciłby się po pokoju, jak niedźwiedź w klatce... To znaczy, iż czuje on coś niedobrego, podejrzanego... poczuł to odrazu, gdyśmy tu weszli, a jego instynkt nigdy nie myli — ma węch doskonały. Widział pan, jak warczał na garsona? Odrazu pomyślałem wówczas: trzeba się mieć na baczności — ten człowiek jest szpiegiem.

— Więc pan przypuszcza?

— Ja nie przypuszczam, ale jestem pewny... To nie jest zwykły garson, zresztą łatwo się o tem przekonać, zapytawszy gospodarza. Ręczę, że ten garson wie doskonale, kim jesteśmy i w jakim celu tu przyszliśmy...

— Jednakże — upierał się p. Ducroc, jestem zupełnie pewny, że nikt mnie nie śledził. Na wszelki wypadek postarałem się dwukrotnie zmylić ślad, czyniąc to z tysiącem ostrożności.

— To nie to — rzekł Sebastyan Blanc w zamyśleniu. — Tu jest coś innego...

— Co?

— Nie wiem. Ja także nie byłem śledzony — jestem tego najpewniejszy. Zresztą — opierając się na tem, co tu widzę, twierdzę, że ci, co nas szpiegują, nie potrzebowali śledzić nas na ulicy, gdyż wiedzieli wcześniej o naszem spotkaniu.

— Wcześniej?

— Bez wątpienia. W jaki sposób wytłumaczy pan obecność tego garsona, który...

Detektyw nie skończył, przerwał mu Frisquet, który z gwałtownem ujadaniem rzucił się do okna.

Sebastyan Blanc uśmiechnął się z tryumfem.

— Proszę, oto jeszcze jeden dowód... nie zauważyliśmy, że okno jest niedomknięte, tak, że mając dobry słuch, można z zewnątrz podsłuchać to, co się tu mówi, nawet gdybyśmy rozmawiali półgłosem. Niech pan otworzy okno i wyjrzy.

P. Ducroc nie dał sobie powtórzyć tego dwa razy. Otworzył szeroko okno i wyjrzał obojętnie na podwórze. Pod samem oknem na ławce siedział garson, szorując rondel. Na szmer otwieranego okna opuścił nisko głowę i gwiżdżąc przez zęby, zdawał się być bardzo zajęty szorowaniem.

— Cóż, przyjacielu — odezwał się p. Ducroc przyjaznym głosem — wciąż przy pracy?

Garson nic nie odpowiedział i oddalił się wraz z rondlem, którego czystość pozostawiała wiele do życzenia.

— Miał pan słuszność — rzekł prefekt, zamykając okno — ten człowiek nas podsłuchiwał.

— Do dyabła! byłem tego pewny.

— Ale w jaki sposób mogli się dowiedzieć?

— Ba! tego wytłumaczyć nie mogę!

— W każdym razie ten wybieg nie udał się nam.

— Niech pan pozwoli... mam pewną myśl... to byłoby jedynie możliwe tłumaczenie. Co pan zrobił z depeszą, w której oznaczałem to spotkanie?

— Spaliłem ją natychmiast po przeczytaniu.

— Doskonale. I nikomu pan jej nie pokazywał?

— Nikomu. Chociaż...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przyszły następca tronu we Lwowie.

Przez oba dni Zielonych Świąt Lwów przybrał uroczystą szatę. Przyszły następca tronu austryackiego, arcyksiążę Karol Franciszek Józef, który obecnie odbywa służbę przy pułku dragonów, stacyonowanym w Kołomyi, zagościł do Lwowa, aby zwiedzić miasto i zapoznać się z jego pamiątkami.

Przyjęcie arcyksięcia było bardzo uroczyste. Całe miasto przybrane zostało chorągwiami o barwach państwowych i narodowych, okna i balkony przystrojono dywanami i kwiatami, a na ulice mimo niepewnej pogody wyległy tłumy ludu.

Na dworcu urządzono pawilon cesarski, który ubrany był palmami i kwiatami. Drzwi pawilonu stroiły ciężkie kotary purpurowe, nad któremi u góry widniała korona arcyksięcia.

Dostojny gość przybył do Lwowa popołudniu o wpół do 2-giej. Na dworcu powitali go przedstawiciele władz autonomicznych i krajowych, rada m. Lwowa, korporacye i stowarzyszenia. W chwili, gdy arcyksiążę wysiadł z wagonu, z cytadeli ozwały się strzały powitalne.

Prezydent Neumann powitał arcyksięcia dłuższą przemową, na którą tenże bardzo serdecznie odpowiedział.

Następnie ruszono do miasta. Na ulicach i placach, którymi arcyksiążę przejeżdżał, tworzyły szpaler różne stowarzyszenia i korporacye oraz tłumy publiczności. Pod pomnikiem Gołuchowskiego oczekiwali gościa włościanie z okolic Lwowa, a jedna z dziewczynek wiejskich podała mu piękny bukiet.

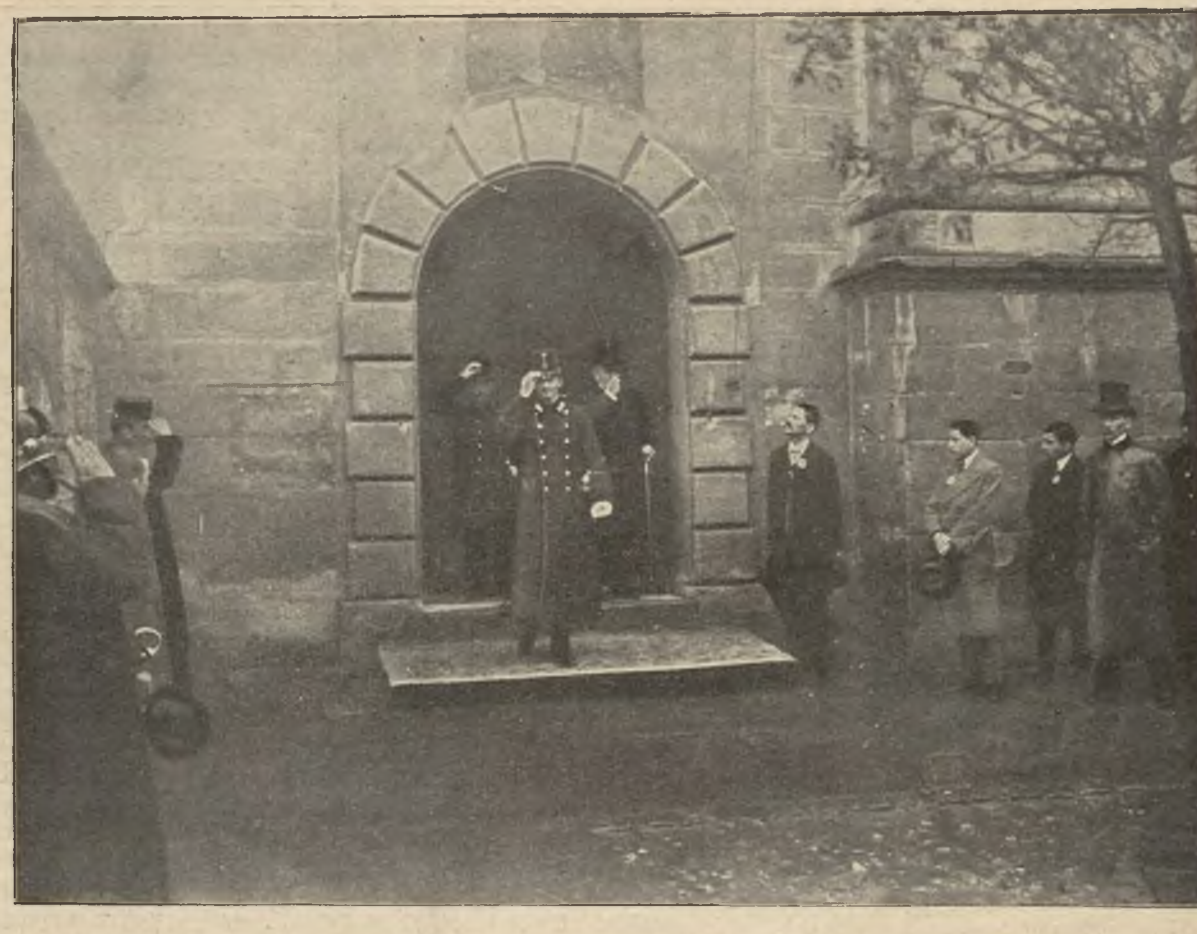
Arcyksiążę zamieszkał w pałacu namiestnikowskim. Po południu o godz. 4 rozpoczęły się audyencye, na których przedstawiły się arcyksięciu wszystkie wybitne osobistości z całego kraju.

O godz. wpół do ósmej wyjechał arcyksiąże do pałacu ks. Lubomirskich, gdzie odbył się uroczysty obiad na jego cześć. Wzięli w nim udział przedstawiciele wszystkich arystokratycznych rodzin kraju.

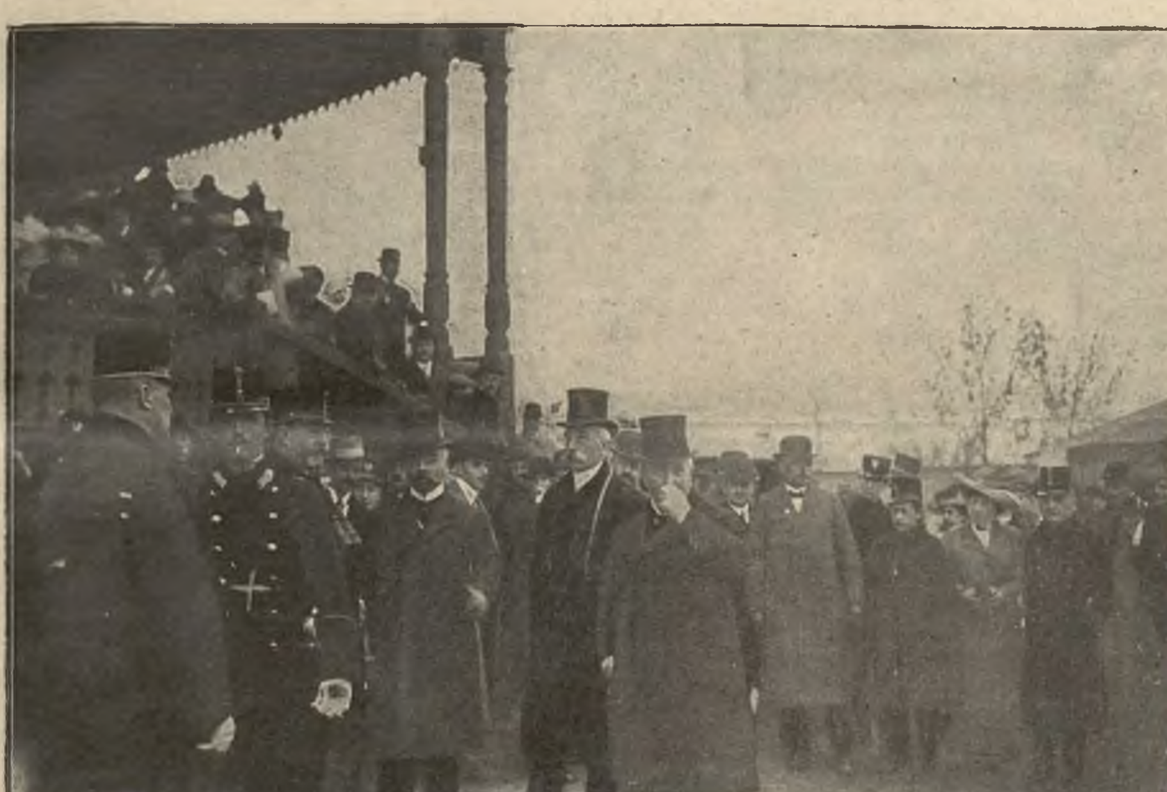
Po obiedzie powrócił arcyksiąże do pałacu namiestnikowskiego, gdzie o godz. wpół do dziesiątej wieczór rozpoczął się wspaniały dworski bal. Cały pałac tonął w powodzi zieleni i świateł. Salony wypełnił różnobarwny tłum, w którym mieszały się fiolety dostojników kościoła, barwne mundury żołnierskie, oraz bogate kontusze polskie, z przepięknymi strojami i toaletami dam. W czasie balu odbył arcyksiąże ogólne cercle, w którem przedstawiono mu wiele osobistości. Ta świetna uroczystość zakończyła pierwszy dzień pobytu dostojnego gościa.

W drugim dniu rano o godz. dziesiątej udał się arcyksiąże na cichą Mszę do kościoła OO. Bernardynów. U wejścia do kościoła powitał go ks. prowincyał Dankiewicz, poczem w kaplicy bł. Jana z Dukli odprawił Mszę św. ks. Bonawentura Slezak. Na wyraźne życzenie arcyksięcia otwarto kościół dla publiczności, której tłumy oczekiwały jego przybycia na pl. Bernardyńskim.

Przed południem zwiedził następnie arcyksiążę Muzeum im. Dzieduszyckich. Stamtąd udał się do marszałka kraj. hr. Badeniego, gdzie o godz. pierwszej w poł. odbyło się śniadanie wydane na jego cześć przez marszałka.



Przyszły następca tronu we Lwowie: Arcyksiążę Karol Franciszek Józef wychodzi z kościoła OO. Bernardynów.



Przyszły następca tronu we Lwowie: Arcyksiążę Karol Franciszek Józef (X) na wyścigach.

Po południu zwiedził arcyksiąże strzelnicę miejską. U bramy strzelnicy oczekiwali gościa prez. Neumann, król kurkowy p. Tabaczyński z całym swym dworem oraz brać strzelecka w uroczystych strojach.

Strzały moździerzowe i okrzyki publiczności towarzyszyły powitaniu. Następnie zwiedził arcyksiążę strzelnicę i dał osiem strzałów do specyalnej tarczy, na której widniał napis, upamiętniający ten fakt. Tarczę tę potem uroczyście zawieszono na ścianie obok innych, do których strzelali cesarz austryacki, arcyks. Karol Ludwik i arcyks. Rudolf.

O godz. 7 powrócił arcyksiążę do pałacu namiestnikowskiego i wziął udział w obiedzie wydanym na jego cześć przez nam. dr. Bobrzyńskiego.

Po godz. 9 wieczorem dostojny gość opuścił mury Lwowa. W towarzystwie swej siosty udał się na dworzec, gdzie pożegnali go jeszcze raz przedstawiciele władz, poczem specyalnym pociągiem powrócił do Kołomyi.

Serdeczny nastrój, jaki podczas pobytu arcyksięcia panował, podnosił fakt, że arcyksiążę jest wnukiem arcyks. Karola Ludwika, który przez długi czas stale we Lwowie przebywał i do Galicyi zawsze z wielką odnosił się życzliwością. Wspomnienia te w czasie uroczystych przyjęć kilkakrotnie podkreślano z naciskiem.

Illustracya nasza przedstawia szereg momentów z pobytu dostojnego gościa we Lwowie.



Przyszły następca tronu we Lwowie: Arcyksiążę Karol Franciszek Józef w towarzystwie namiestnika Bobrzyńskiego opuszcza dworzec kolejowy. (Fot. M. Münz, Lwów).

Kronika tygodniowa.

Jak długi i szeroki ten świat Boży, nikt nie mówi obecnie o niczem innem jak tylko o węgierskich awanturach, które w Budapeszcie przyjęły wprost formy rewolucyi. Nawet amatorowie gry w piłkę nożną mówią tylko o Węgrach, gulasz węgierski, węgierskie salami i tak zwane (nie wiem, z jakiego powodu...) węgierskie wino cieszą się wzmożonym popytem.

Oligarchowie węgierscy przypieczętowali krwią swą reakcyjną działalność, zdobyli po prostu rekord bezwzględności i prawdziwie pruskiego postępowania, smutnym epilogiem była budapeszteńska rewolucya, która w całym cywilizowanym świecie wywołała zupełnie słuszne oburzenie. Polała się krew, ofiarą padło niejedno życie, dla nich to przecież nie jest niczem, oni po prostu kpią sobie z całego świata, a o jakichś ludzkich uczuciach nikt nawet nie marzy.

Kraj wydany jest na łup kliki, która w obronie własnych swych interesów zdolną jest do wszystkiego...

Ale w kraju papryki ludność jest dość nerwową, sprzykrzyło się więc ogółowi to ciągle „kunirowanie" i... awantura gotowa!

Tisza tryumfuje, takim samym pionkiem w jego ręku jest obecnie Lukacs, jakim był przedtem Khuen... Ex feldwebel Csuvaj to osobistość której nazwisko zapisze się na najczarniejszej karcie węgierskiej historyi.

Głównym powodem zajść budapeszteńskich jest sprawa reformy wyborczej do sejmu węgierskiego. Tamtejsi oligarchowie zgadzają się na nią wprawdzie, ale pod tym warunkiem, że ich interesy nic na tem nie ucierpią, to jest, że reforma wyborcza, będzie przeprowadzoną w ten sposób, że zachowają dalej swą przewagę.

Ludność natomiast pragnie reformy wyborczej w całem tego słowa znaczeniu, a nie jakiejś jej karykatury i burzy się, ale burzy słusznie. Przywódcy węgierskiej magnateryi wiedzą, że w razie uwzględnienia postulatów ludności zginą z widowni i rozpłyną się w tem morzu, które się bałwani coraz bardziej; trzymają się więc rękami i nogami, a w szalbierstwach wyborczych doprowadzili do takiego mistrzowstwa, że w kąt przed nimi schować się musi nawet i Ameryka!

Ogólne natomiast współczucie towarzyszy sędziwemu monarsze, któremu magnacka klika w ostatnich czasach tyle narobiła przykrości. Cesarz, doskonały polityk, odczuwający, jak mało który z panujących, ducha czasu i prawa szerokich mas ludu, użyje niezawodnie swego wpływu, aby ludności węgierskiej dać reformę wyborczą w całem tego słowa znaczeniu.

Nie ulega kwestyi, że i parlament austryacki, zebrawszy się po Zielonych Swiętach na sesyę, zajmie się także i sprawami węgierskiemi, co niezawodnie zirytuje Węgrów, nie lubiących, by im zaglądano na palce, ale nie myślących wcale o poprawie. A niepodobna zapoznawać faktu, że te rządy madziarskiej oligarchii mszczą się w dotkliwy sposób i na innych ludach, wchodzących w skład monarchii. Zwłaszcza sprawa ustaw wojskowych i ściśle z nią związana sprawa dwuletniej służby wojskowej rozbijają się ustawicznie o opór Węgrów, chcących za każdą cenę postawić na swojem. A na tem cierpi właśnie ludność całej monarchii.

W najbliższym czasie należy się spodziewać definitywnego załatwienia, dłużej stan podobny nie może trwać absolutnie.

Jak z tego widać, Zielone Swięta nie były dla Węgrów zbyt przyjemne, pod wrażeniem wypadków z ubiegłego tygodnia nikomu nawet o zabawie się nie śniło.

Zato nasza stolica, Lwów, bawił się doskonale. Przez oba dni świętalne było tyle uroczystości, przyjęć, obchodów i zebrań, że słusznie powiada *Czas* wtorkowy, iż ci, którzy muszą być wszędzie, musieli się chyba dwoić i troić, aby podołać swym obowiązkom towarzyskim. W niedzielę był więc dzień kwiatka na rzecz Związku katolickich niewiast, był zjazd polskich prawników i ekonomistów, przyjazd arcyksięcia Karola Franciszka Józefa i różne połączone z nim festyny, doroczna uroczystość detronizacyi króla kurkowego, dzień młodzieży rękodzielniczej, wyścigi konne, podwieczorek panieński i kto je tam zresztą zliczy! Amatorowie zabawy narzekali na swój los, byłoby daleko lepiej, gdyby tak można było rozłożyć je na kilka lub kilkanaście następujących po sobie niedziel lub świąt.

Ale trudna rada, Zielone Swięta są tylko raz w roku, a wtedy każdy się chce bawić!

Dobrze przynajmniej, że pogoda dopisała, choć właściwie nie bardzo.

Wobec takiego nawału uroczystości i festynów zapomniano bodaj na chwilę o owym politycznym czyraku, który dokucza nam w Galicyi wschodniej, a nazywa się sprawą uniwersytetu ruskiego. Galicya wschodnia, właściwie Lwów, nie może się doczekać pęknięcia tego wrzodu, zupełnie tak samo, jak zachodnia rozwiązania sprawy kanałowej. Tylko nasz czyrak kanałowy, choć brzydko się nazywa, nie jest tak bolesny, jak tamten.

Choć właściwie źle się wyraziłem, mówiąc, że „zapomniano" o sprawie uniwersytetu ruskiego, gdyż przypomniał ją wiec włościan z powiatu lwowskiego, którzy zaprotestowali przeciw urządzeniu ukraińskiej wszechnicy nad Pełtwią. Wiec trwał bardzo krótko, przemawiali: prof. Rydygier, który według słów sprawozdawcy, mówił rzeczowo i spokojnie i p. Krzysztofowicz. Ten „rzucił garść frazesów agitacyjnych", poczem uczestnicy rozeszli się, aby wziąć udział w oficyalnem przyjęciu przyszłego następcy tronu.

Wypadło ono nad wyraz wspaniale. Ludność Lwowa chowa w żywej pamięci pobyt arcyksięcia Karola Ludwika w swych murach, witała też jego wnuka owacyjnie. Nie było żadnych dyssonansów, choć Rusini planowali osobne przyjęcie „na ukraińskiej ziemi, nad królową rzek ruskich, zwaną Pełtewką".

Gorzej wyszliśmy w Krakowie. Przez oba dni świętalne była niepogoda, na domiar nieszczęścia Wisła zagroziła wylewem, a wiadomo, że ona nie żartuje! Na Bielanach było spokojnie, kramarze i szynkarze łamali dłonie i rwali włosy z rozpaczy, choć i pomimo niepogody nie brakło amatorów, którzy powędrowali do bielańskiego lasu. Nie było ich jednak tylu, co w poprzednich latach, jakość także pozostawiała wiele do życzenia.

Ci zaś, którzy zostali w Krakowie, nie chcąc się nudzić w domu pociągnęli do knajpki, rojno też było i gwarno tak w restauracyach, jak w kawiarniach i cukierniach. My znowu zapomnieliśmy o ospie, którą nas ciągle straszy fizykat miejski, choć może i dobrze robi, boć, jak powiada przysłowie: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże".

Na oba dni świętalne zjechało nad Wisłę mnóstwo obcych z całego kraju i zagranicy, ale i oni niezadowoleni byli z grymasów pogody, nie mogli bowiem zwiedzać osobliwości Krakowa i zmuszeni byli do oglądania jedynie handelków śniadankowych, teatrów i cyrku.

Rojno też było tak w teatrze miejskim, jak i ludowym, w teatrze Nowości i Edisonie, a pani Solange d'Attalide, która rozbiła namioty vis-a-vis Krakowskiego ogrodu, powiada, że Kraków to bardzo kulturalne miasto, znające się na sztuce i popierające ją, o ile kieszeń na to pozwala.

A i z tą kieszenią zaczyna być jakoś nie w porządku, gdyż banki jeden po drugim zamykają kredyt. Nie dość, że wszyscy żądają dobrych ręczycieli i są na tyle bezczelni, iż każą zwracać pożyczki, jeszcze na każdym kroku utrudniają otrzymanie tej marnej mamony.

Wspominałem już w poprzedniej kronice o wycofywaniu nowych dwu koronówek, rzekomo z tego powodu, iż pod popiersiem cesarza umieścił artysta modelator, pan Schwartz, swój podpis i widzę, że się nie pomyliłem, napróżno bowiem zaglądam do portmonetki i badam jej zawartość, nie mogę znaleźć ani jednego egzemplarza. Pan minister skarbu, jako nasz rodak, powinien był każdemu z c. k. podatników przysłać po kilka sztuk okazowych. W święta byłyby się stanowczo przydały!... Ponieważ zaś rząd na puszczenie ich w obieg miał zarobić aż dziewiętnaście milionów, mógł się był podzielić z nami swym zyskiem.

Pół tobie, a pół mnie — wystarczy dla nas obu!

Tak się jednak nie stało, a to zapewne z tego powodu, iż pan Zaleski jest słaby, podobnie jak i reszta austryackiego ministerstwa, które powinno nosić nazwę „szpitalnego". Nawet sam premier, hr. Stürgkh jest chory na oczy i podobno nie dowidzi, ale nic w tem dziwnego, austryaccy ministrowie odznaczają się z zasady krótkowzroczności i to wprost nieuleczalną. Jeden tylko minister galicyjski Długosz jest ciągle zdrów i nie narzeka na żadne dolegliwości, chyba na wszechpolskie kolki, które mu od czasu do czasu dokuczają, a lekarstwa na nie ani rusz znaleźć.

Od prezydenta ministrów zaraziłem się, jak się zdaje i ja, jak już bowiem wspomniałem nie mogę dopatrzyć się dwu koronówki w mym pugilaresie, zupełnie tak samo, jak Galicya nie może w żaden sposób dojrzeć owych robót kanałowych, o których tyle pisano i mówiono. Pan Poleński pokazywał wprawdzie w Teatrze Nowości łopatę oryginalną, którą rozpoczęto budowę, nie musiano nią przecież wiele zrobić, gdyż była jeszcze prawie zupełnie nie zniszczona.

— Co nam zresztą po kanałach? — powiadają polityce — wody wszędzie aż za dużo, a wam się jej jeszcze więcej zachciewa!...

O zjeździe ceramików nie powiem państwu ani słowa, a to z tego powodu, iż się zupełnie nie znam na tym przedmiocie, kto zresztą ciekawy, niech zaglądnie do pism codziennych, znajdzie tam bardzo wyczerpujące sprawozdanie.

Natomiast opowiem państwu, w jaki sposób popierają niektórzy nasi kupcy przemysł krajowy, a zastrzegam się, że nic nie ujmę, ani dodam, powtórzę wszystko słowo w słowo, jak słyszałem na swoje własne uszy. A natura obdarzyła mnie wcale pokaźnemi, jakiemi nie każdy śmiertelnik mógłby się poszczycić...

A niech mi tak ogon wyrośnie, jeśli zełgam choć słowo!

Do jednego z krakowskich lokali przybyła jakaś kobiecina i prosi o pięciokilowy karton cukru, kupiec daje jej żądany przedmiot, ale naturalnie jakiś cukier opawski, czy kojetański, a nie przeworski.

Po jej wyjściu gość, który właśnie był w sklepie, pyta, dlaczego nie dano jej cukru krajowego, bo chyba przecież znajduje się w sklepie ten artykuł.

— Naturalnie! Jest! — odpowiada kupiec. — Mam kilka pakietów, *ale chowam je dla patryotów*, a zwykłym śmiertelnikom sprzedaję cukier opawski, bo na nim więcej zarabiam!

Jeśli nasi panowie kupcy popierają w ten sposób naszą krajową fabrykacyę, nic też dziwnego, że ona marnieje z dnia na dzień i nie może sprostać obcej konkurencyi. Jest obowiązkiem publiczności żądać wszędzie cukru krajowego, ewentualnie bojkotować handle, gdzie go nie sprzedają.

A niech kto przypadkiem nie myśli, że się to może zdarzyło w sklepie żydowskim! Owszem, miało to miejsce w handlu i to renomowanym, należącym do katolika z dziada i pradziada.

Byłbym na śmierć zapomniał wspomnieć o podarunku, jaki, nie wiele brakowało, a byłby otrzymał Kraków od Wysokiego Rządu. Ponieważ Lwów, Przemyśl, Kołomyja, Tarnopol, ba nawet podobno Bohorodczany i Peczeniżyn wypraszają się od tego zaszczytu, by miały pomieścić w swych murach uniwersytet ukraiński, który ma cywilizować hajdamaków, miarodajne sfery nosiły się z myślą, czyby tak nie kreować go w Krakowie. Rusini zgadzali się już na to, co jednak wpłynęło na zaniechanie tego niefortunnego projektu, dotychczas nie wiem, choć dopytywałem się wszędzie, nawet pomiędzy znajomymi Rusinami.

Oni są tego zdania, że uniwersytet ich musi być we Lwowie, a nie gdzieindziej, zapominają jednak, że brak im dotąd sił nauczycielskich, któreby niecili między nimi światło. Uczniów nie braknie, ukraińskie gimnazya, to oranżerye, w których hoduje się całe setki przyszłych geniuszów, mających zabłysnąć przed Europą. Wiadomo zresztą, że tam dwójek się nie daje, nie dlatego, jakoby nie było do nich kandydatów, owszem, jest ich nawet więcej, niż w innych zakładach, ale patryotyzm nie pozwala, aby ukraiński profesor prześladował ukraińską młodzież. A zresztą od czegóż strejki i bojkot?

W każdym jednak razie wiele jeszcze wody upłynie i to nawet w Pełtwi, nim ten uniwersytet ujrzy światło dzienne.

Wykształcenie uzupełniające dla dziewcząt.

Ważną rolę dla podniesienia poziomu umysłowego szerszych warstw odgrywają niewątpliwie uzupełniające szkoły przemysłowe, które niosą oświatę i potrzebną wiedzę praktyczną licznej rzeszy terminatorów rzemieślniczych. Liczba tych szkół wciąż wzrasta, a przed 2 laty powstała w Przymyślu podobna placówka oświatowa dla dziewcząt. Jest to Szkoła przemysłowa uzupełniająca żeńska, która została tam założona w r. 1910, dzięki staraniom przemyskiego Stowarzyszenia Samopomocy nauczycielek. W tych dniach właśnie odbyło się w tej szkole uroczyste zakończenie drugiego roku nauki. Wynik pracy był bardzo pomyślny, o czem świadczyła wymownie urządzona wystawa prac uczenic oraz rozdane uczenicom nagrody (w postaci książeczek Kasy Oszczędności) za pilną naukę.

Jak bardzo potrzebną była w Przemyślu Szkoła przemysłowa uzupełniająca dla dziewcząt, wskazuje najlepiej liczba przeszło 100 uczenic, które uczęszczały na naukę regularnie i uczyły się z wielkiem zamiłowaniem.

Zarząd szkoły dokłada starań, aby szkoła, która jeszcze nie jest zorganizowaną, przeszła wkrótce na koszt kraju i została należycie wyposażoną. Obecnie mieści się w budynku szkoły żeńskiej na Władyczu i zostaje pod kierownictwem p. Aleksandry Schultz.

Illustracya nasza przedstawia kierownictwo szkoły wraz z grupą uczenic.



Pogrzeb Bolesława Prusa: Przed mównicą na cmentarzu: 1. Or-ot 2 Ignacy Matuszewski 3. Prof Chrzanowski. 4 red. Ludwik Straszewicz (Do art. na str 3)



Wykształcenie uzupełniające dla dziewcząt: Szkoła przemysłowa uzupełniająca żeńska w Przemyślu (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Zjazd ceramików polskich w Krakowie.

W trudnych warunkach rozwija się w naszym kraju przemysł ceramiczny. Skazany na bliską konkurencyę wyrobów niemieckich i czeskich, walczyć musi z ogromnemi trudnościami. Aby chronić swe interesy zawodowe, poszczególne firmy i fabryki założyły związek ceramików polskich, do którego dotychczas przystąpiło około 200 firm, dyrektorów i urzędników.

W samej Galicyi wprawdzie przemysł ceramiczny w ostatnich czasach znacznie się rozwinął, ale rozwój ten poszedł w kierunku jednostronnym, dotyczy bowiem jedynie wyrobu cegieł, natomiast kaflarstwo wobec obcej konkurencyi znacznie ucierpiało.

Związek ceramików stara się przez zjazdy podnieść wzajemne stosunki między polskimi przemysłowcami, a zarazem przez wydawanie pisma „Przemysł ceramiczny“ prowadzi wśród nich naukową propagandę.

Przed kilku dniami z inicyatywy Związku odbył się w Krakowie zjazd ceramików polskich. Wzięli w nim udział liczni przedstawiciele przemysłu ceramicznego z całej Galicyi i Król. Polskiego. Między innymi przybyli ks. Lubecki, pp. Nieprzecki i Fedorowicz z Częstochowy, Lesiecki z Dąbrowy Górniczej, Paszcza, Grzymała, ks. Brzeziński z Sieradza, dyr. Klimaszewski z Kołomyji i wielu innych.



Rewolucyjne walki w Budapeszcie: Prezydent Sejmu węgierskiego, hr. Stefan Tisza, który nie chciał przerwać posiedzenia podczas krwawych walk ulicznych.



Zjazd polskich ceramików w Krakowie: Uczestnicy zjazdu w sali posiedzeń Banku galicyjskiego.

Obrady trwały dwa dni i odbywały się w sali posiedzeń Banku galicyjskiego. Przewodniczył posiedzeniom p. Zelechowski.

Obrady zjazdu były bardzo ożywione. Omawiano walki z obcymi wyrobami, które rugują nasze wyroby, konkurując taniością, mimo iż są często znacznie gorsze. Związek ma zamiar rozwinąć w tej sprawie szeroką akcyę publicystyczną, która objaśniłaby społeczeństwo o obecnym stanie rzeczy. Omawiano także sprawę naukowych wycieczek po fabrykach krajowych, przyczem zwrócono uwagę na fakt, że nasi przemysłowcy nie bardzo chętnie pozwalają na oglądanie innowacyi przez nich zaprowadzonych.

Po zjeździe część uczestników wyruszyła na wycieczki po kraju, aby zwiedzić różne fabryki, w których zaprowadzono nowe maszyny ceramiczne.

Illustracya nasza przedstawia uczestników zjazdu w sali obrad Banku galicyjskiego.



Wystawa sportowo-przemysłowa w Warszawie· Grupa członków komitetu w otoczeniu przedstawicieli prasy-
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

sprawę założenia szkoły ceramicznej w Galicyi, tworzenia biur pośrednictwa pracy, wydawania podręcznika naukowego dla ceramików.

Jako miejsce przyszłego zjazdu oznaczono Kraków, z tego względu, że tutaj najłatwiej ze wszystkich stron Polski zjechać się można.

Bardzo obszerną dyskusyę poświęcono sprawie

Wystawa sportowo-przemysłowa w Warszawie.

Warszawska wystawa sportowo-przemysłowa może strasznie narzekać na garbaty los, jaki zazwyczaj wszystkie wystawy prześladuje. Stał on się tak jej udziałem, jak też i krakowskiej wystawy architektonicznej. Obu nie wykończono na czas oznaczony.

Onegdaj dokonano uroczystego jej otwarcia, choć właściwie, według zapewnienia pism warszawskich, zaledwie w połowie dopiero została obesłaną.

Wyjątek stanowi pawilon sportu i myśliwstwa, który doborem okazów nie ustępuje zdaniem znawców wystawie wiedeńskiej. Znajdują się tutaj wspaniałe zbiory okazów słoni i innych zwierząt egzotycznych, będące własnością kilku podróżników z kół arystokracyi, kolekcye rogów, wypchane żubry z puszczy białowieskiej i kamczackie niedźwiedzie, a komplet broni, skonfiskowanej kłusownikom przez kółko myśliwych św. Huberta, jest w swym rodzaju osobliwością. Całości dopełniają obrazy treści myśliwskiej Chełmońskiego i Fałata, zbiory artystyczne, broń znanych firm krajowych i wiele innych cennych przedmiotów.

Wogóle ten dział, jedyny w całości obesłany, przedstawia się imponująco.

Główny murowany pawilon mieści samojazdy, ich mechanikę i pokrewne gałęzie tego przemysłu. Szczególniej dział automobilowy jest bardzo bogaty.

Niektóre firmy wystawiły osobne pawilony, między innemi krajowa fabryka *Varsovie automobile* ks. H. Lubomirskiego. Tamże zwraca uwagę podstawa aeroplanu Fahrmana i witraże Żeleńskiego. W kiosku firmy Żabokrzyckiego mieszczą się maszyny do wyrobów piaskowo cementowych i nowego rodzaju dachówka.

Prawdziwą ozdobą wystawy jest ustawiony pomiędzy polami tennisowemi olbrzymi posąg bronzowy H. Czarnowskiego: „Precz z drogi". Odznaczono go na wystawie paryskiej pierwszą nagrodą.

Mimo, że wystawa nie jest jeszcze w zupełności obesłaną, napływ ciekawych wzrasta z każdym dniem.



Wystawa sportowo-przemysłowa w Warszawie: Pawilon myśliwski. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Rozwiązanie zagadek z Nr. 20.

Przysłowiówka: Każda Teresa ma swoje interesa.

Figielek: Dzięcioł w drzewo kuje, a nos sobie psuje.

Szarada: Ruczaje.

Zadanie rachunkowe: Babka liczy lat 90, ojciec 50, matka 40, syn 20.

Trójkąt magiczny:

B e r e s t e c z k o
E a s t b o u r n e
R o t t e r d a m
E s k i m o s i
S z w e c y a
T a m i z a
E r a t o
C i s a
Z u g
K a
O

Zadanie literackie:

Jędza.
Ela.
Żórawie.
Pieniądze.
Opętany.
Kudeje
Oj, ta starość!
Lat temu dziesięć.
Emilia Plater.
Taquisara.
Emancypantki.
Żydzi.

Bilety wizytowe: Profesor matematyki Inspektor policyjny. Inżynier budowniczy.

Szarada: Fantazya.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: E. Ligęza Kraków, E. Raczyński Kraków, J. Galiński Sanok, M. Cegielska Poznań, J. Jakubowska Kraków, L. Cisowski Warszawa, D. Sedyńska Zakopane, J. Gans Lwów, S. Kozłowski Kraków, A. Siatka Kraków, J. Wiewiórowski Krosno, K. Różycki Lwów, H. Lisowski Kołomyja, K. Balicki Tarnopol, A. Biliński Lwów, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Prądnik Czerwony, S. Krzyżanowski Podgórze, S. Karczmarski Kraków, S. Fijałkowski Jasło, W. Potocka Kraków, J. Wilczkiewicz Stanisławów, J. Popiel Mińsk, H. Kamiński Petersburg, K. Link Lwów, M. Więckowska Warszawa, M. Antosz Sanok, E. Stępień Jasło, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, K. Radoszewski Tarnobrzeg, L. Berezowski Nowy Sącz, K. Kadulski Oświęcim, J. Gruszczyńska Kraków, H. Piątek Podwołoczyska, J. Rosenbaum Rzeszów, K. Malinowska Lwów, S. Sokołowski Rzeszów, E. Dębiński Jasło, J. Błachowski Szczucin, L. Samlicki Wilno, J. Beck Opawa, H. Schwarz Warszawa, J. Jaglarz Rzeszów, A. Lichański Radziwiłłów, S. Niżyński Lwów, A. Gralewski Kraków, A. Trzeciak Sanok, M. Toporowski Lwów, P. Madejski Praga, T. Leszczyński Wadowice, E. Mianowska Lwów, R. Gadomski Zakopane, M. Sadowska Poronin, S. Ryglicki Poznań, J. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Krysakowski Częstochowa, J. Piękoś Sanok, H. Kalinowski Lwów, S. Stawarski Wiedeń, M. Krawecki Radom, J. Kamocka Kalisz, H. Mizerska Stanisławów, W. Kwaśniewski Lwów, R. Świrski Piotrków, F. Horodyski Warszawa, M. Trepka Sandomierz, S. Bukowski Kijów, H. Maciejowska Winnica, T. Kinalski Tarnów, A. Ostrowski Sandomierz, L. Bandrowski Częstochowa, S. Baziak Stanisławów, H. Biesiadecka Kraków, K. Gliński Kołomyja, R. Łysakowski Sichów, H. Lasocińska Lublin, R. Zięba Sandomierz, S. Wojakowski Petersburg, K. Gruber Lwów, E. Niestenberger Sambor, S. Karwowski Pilzno, K. Zegartowska Bogucice, K. Mann Bochnia, C. Wang Tarnobrzeg, A. Wojciechowski Kraków, S. Bobrowski Warszawa, A. Dużak Lwów, S. Misińska Tarnów, H. Broda Lwów, A. Barnat Złoczów, R. Dębicki Lwów, J. Zachara Mielec, M. Wyka Sambor, K. Dulęba Lwów, J. Przybysławski Żabno, S. Mróz Lwów, R. Kopystyński Jasło, G. Samlicki Lwów, B. Gawlik Jabłonów, J. Zaleski Czerniowce, M. Klappholz Rzeszów, Z. Mazaraki Radom, J. Trojacki Wiedeń, K. Armatys Ulanów, J. Czarkowski Skierniewice, D. Engelberg Rzeszów, M. Scholz Kraków, F. Nowacki Przemyśl, S. Kozłowski Piotrków, L. Zapałowicz Wilno, M. Orlińska Lwów, J. Strojek Tarnopol, I. Brzostowski Podgórze, R. Singer Drohobycz, W. Borkowski Kraków, J. Janik Drohobycz, F. Blatterfeind Jaworów, L. Aleksandrowicz Płock, T. Kozarska Warszawa, S. Kowalówka Kraków, J. Wójtowicz Rzeszów, R. Sperling Wiedeń, M. Kruszelnicka Janów, H. Linderska Zakopane, J. Czernecki Kraków, S. Lindenbaum Czerniowce, M. Łapiński Warszawa, H. Kapalska Lwów, J. Bałuk Kołomyja, M. Zawadzki Tarnów, J. Topolnicki Kamieniec, T. Chrzanowski Suwałki, S. Reich Łódź, Z. Dubiel Krosno, W. Pick Warszawa, R. Majewski Lublin, J. Jahoda Cieszyn, K. Fuchs Czeremchów, K. Szumańska Rawa Ruska, E. Bogdalska Koropuż, B. Gartner Pianowice, M. Arbesbauer Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **F. Horak, Oświęcim.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

Głosy publiczne.

Z wystawy architektonicznej w Krakowie: Konkurs na typy domów mieszkalnych: Dnia 23 b m w głównym pawilonie wystawy rozpoczęły się obrady sądu konkursowego celem rozstrzygnięcia konkursu na 5 typów domów mieszkalnych, rozpisanego w jesieni zeszłego roku przez Delegacyę architektów polskich i komitetu wystawy w porozumieniu i z finansową pomocą gminy miasta Krakowa. Na konkurs nadesłano prac 40, pod obrady jednak wzięto tylko 35 prac, a to ze względu na to, że czterem pracom brakuje wymaganych warunkami konkursu modeli plastycznych, a jeden projekt przed terminem został wycofany przez autora.

W skład sądu konkursowego wchodzą pp. w imieniu Rady m. Krakowa, wiceprezydent J. Sare i Prof J. Nowak, mianowani przez Delegacyę Architektów polskich pp. architekt W. Markoni z Warszawy, nadto prof. W. Ekielski, Dr. St Goliński, i Jerzy Warchałowski; delegat Koła architektów z Warszawy p. B. Rogoyski, delegat Koła architektów w Krakowie p. L. Wojtyczko. Delegat ze Lwowa p. Ramult z powodu choroby nie przyjechał Spodziewany jest zastępca.

Oprócz prac konkursowych nadeszło na wystawę sporo innych projektów nadesłanych również w modelach plastycznych. Cały ten interesujący materyał wypełni dwa skrzydła głównego pawilonu wystawy.

Loterya wystawy architektonicznej w Krakowie. W najbliższych dniach wypuszczone zostaną bilety loteryi wystawowej. obliczonej na 25 tysięcy losów po 1 kor., których wygrane stanowią przedmioty wartościowe z zakresu przemysłu artystycznego ogólnej wartości 7 tysięcy koron. Losy będą do nabycia w handlach, trafikach i w biurze Komitetu na wystawie Projekt losu dał Jan Bukowski, a wykonała bezinteresownie drukarnia W. L. Anczyca i Sp. Znaczki wystawy podług rysunku Józefa Czajkowskiego, służące do nalepienia na listach, są do nabycia w handlach papieru, trafikach i w biurze wystawy. Znaczki te rozchodzą się w wielkiej ilości, a pewna firma monachijska zakupiła 50 tysięcy sztuk, co przyczyni się z pewnością do zareklamowania naszej wystawy zagranicą

Z wystawy architektonicznej w Krakowie. J. Ces. Wys. Arcyksiążę Karol Stefan z Żywca przyjął protektorat nad wystawą architektury i wnętrz w otoczeniu ogrodowem, o czem zawiadomił Komitet telegraficznie. Arcyksiążę Karol Stefan, znany z szczerszej życzliwości dla polskiego społeczeństwa dał nadto tym razem przez przyjęcie protektoratu nad wystawą dowód wysokiej oceny tego kulturalnego przedsięwzięcia.

Z „CYRKU EDISON": Najnowszy program przynosi z dniem 31 b. m. cały szereg aktualnych numerów. Atrakcyę stanowi pyszny dramat „Naszyjnik tancerki" i niemniej zajmujący jest aktualny jak zawsze „Żurnal Pathego", oraz szereg obrazków z natury, jak „Obrazki z życia ptaków" z „Rathon do Szandawy". Stronę komiczną reprezentować będzie doskonały figiel kinematograficzny „Błyskawiczny tapicer", oraz pełen naturalnego humoru i sytuacyi komicznych „Przykładny uczeń".

Ze świata kobiecego.

Królestwo batystów i muślinów.

Zbliżają się już upały letnie, a wraz z nimi suknie, jakie panie na siebie kładą, zaczynają się stawać bardziej przeźroczyste i lekkie. Batysty, muśliny ukazują się już na ulicach. Wprawdzie ostatnie dni deszczu pogroziły trochę zimnem, ale nie odstrasza to nasze elegantki od tego, aby już w zupełności nie rozpoczęły letniej kampanii.

Dla tych więc przynoszę dzisiaj opis ślicznej sukni letniej, zestawionej w dwu kolorach zielonym i białym. Suknia ta ogólnem wrażeniem przypomina trochę styl późnego *Rokoko*. Spódniczka równa, do ziemi, składa się właściwie z trzech części. Spód tworzy równa spodniczka z muślinu białego z deseniem zielonym. Tę pierwszą spodniczkę pokrywa druga, sięgająca trochę poza kolana, zrobiona z pięknych koronek *Valenciennes* zakończona dołem trzema falbankami koronkowymi. Obie te spodniczki przykrywa trzecia krótka tunika, z przodu otwarta, spadająca od paska poza biodra, z jasno-zielonej krepy jedwabnej; jest ona lekko falista, tak że tworzy rodzaj *panier*, a wedle najnowszej mody z przodu brzegi jej są lekko do wewnątrz podwinięte. Tunika ta z tyłu wydłuża się i opada w dół jako osobny trenik, względnie ta tak modna obecnie osobna fałda.



Suknia z żółtego atłasu, przybrana różową tuniką z jedwabnego muślinu.

Stanik tworzy ładne kimono z zielonej krepy jedwabnej, rękawy zaś i karczek zrobione są z tiulu białego i ubrane koronkami. Rękawy są długie i wąskie. Pasek stanowi szeroka zielona wstążka *liberty*.

Całość jest bardzo wdzięczna a w zestawieniu łagodnego zielonego koloru z białem dla panien stanowi śliczną i niezbyt drogą toaletę.

Inną sukienkę równie zgrabną podajemy w illustracyi. Jest ona zrobiona z żółtego atlasu. Spódnicę pokrywa nierówno u dołu wykończona tiunika z różowego muślinu jedwabnego, która zdobna jest wyszyciami z perełek różnokolorowych. Staniczek ma formę kimona, u szyi małe wycięcie, zaś rękawy gładkie mają upięcie coś w rodzaju *fichu* z jedwabnego muślinu naszytego perlami.



Suknia taftowa spacerowa, mająca stanik w formie krótkiego żakieciku.



Letnie sukienki dziecinne z tafty według najnowszej mody.

Moda przyniosła nam także pewne nowości w dziedzinie parasolek damskich. W Paryżu pokazały się na czas jednak stosunkowo krótki parasolki w formie dzwonów, dostosowane do obecnych modnych kapeluszy. Robiły one jednak tak nieestetyczne wrażenie, że nie utrzymały się.

Natomiast wielkiem powodzeniem cieszą się parasolki z lekkich materyi białych lub kolorowych, przybrane wstążkami innego koloru. Tak więc chętnie noszone są parasolki białe z obramowaniem i wstawką czarną, lub różowe jedwabne z ciemnem przybraniem. Ciekawą parasolkę widziałam, gdzie brzeg dosyć szeroki stanowiła kratka czarno-biała.

Natomiast czarne parasolki mogą mieć ozdoby białe i to zarówno z materyi jak i u zakończenia drutów lub rączki. Nie uważa się tego za żałobę.

W Paryżu spotyka się nawet parasolki zdobne w bardzo kosztowny sposób, mianowicie biała jedwabna parasolka ma w około szeroki brzeg czarny, którego zeszycie z białym jedwabiem ubrane jest wąskim paskiem białych strusich piórek.



Suknia letnia z batystu gładkiego i w deseń, przybrana riuszkami.

Moda tafty i marszczeń znalazła zastosowanie nawet w ubraniach dla dzieci. W dzisiejszym numerze przynosimy illustracyę przedstawiającą letnie ubranka dla dziewczątek, zrobione z tafty i na sposób modny przybrane marszczeniami. Na taki zbytek mogą sobie jednak pozwolić tylko ludzie zamożni.

W.



Piłki nożne

LAWN-TENNIS



Rakiety, prasy do tychże.
Piłki, siatki i wszelkie przybory sportowe.



Wrotki
ameryk. łyżwy na kółkach.

APARATY GIMNASTYCZNE
angielskie, systemu Autogymnast Whitely, Sandow's i inne polecone przez największe powagi lekarskie do wyrobienia siły i muskularnych kształtów ciała.

PRZYBORY RYBOŁOWCZE
w największym wyborze.

Najlepsze FARBY OLEJNE
Lakiery, emaile, glazury bursat. Masa francuska, Cirine i wosk
Środki do czyszczenia metali.

Nowość! „PERRUGINOL" Guma szmirglowa
na rączkach do czyszczenia metali — praktyczna Nowość!

polecają najtaniej

Reim i Ska, Kraków

Rynek 37, Linia A-B.

Kule i kręgle z Lignum Sanctum i z drzewa miękkiego.
KROKIETY.

Nowość! Hanaka pat. maszyna froterująca i woskująca równocześnie, sztuka K 24·—

PERFUMY, MYDŁA, PUDRY i KREMY

z najsłynniejszych fabryk krajowych i zagranicznych.
Najświeższe nowości zawsze na składzie.

Środki i aparaty do odświeżania powietrza w pokojach.
Grazya Matuli do wąsów.

Woda kolońska i perfumy na wagę.

Artykuły toaletowe i kosmetyczne



ogłaszane w „Tygodniku" i „Swiecie" warszawskim zawsze na składzie.



MYDŁA
o silnych zapachach 1 kg. Kor. 1·80.
Kwiatowe w karton. 6 szt. Kor. 1·—.

Środki do barwienia i konserwowania włosów.



ŚCIBOROWSKI K.

Kraków, Floryańska 13
poleca
NA SEZON WIOSENNY i LETNI

Płaszcze angielskie,

kostyumy, bluzki jedwabne, wełniane i etaminowe, **szlafroki, sukienki** batystowe i etamin., **szale, rękawiczki, pończochy** i t. d.

Patent austr. 41756.

Wyrób krakowski!

Doskonałe pokrycie dachów
Lekkie, piękne, nie wymaga nigdy reperacyi.
Najwyższy stopień ogniotrwałości



odporny na wiatry i zmiany powietrza.
FABRYKA ŁUPKU ASBESTOWEGO
„Asbit" Spółka z ogr. por.
Kraków
Biuro centralne
ul. Starowiślna 48.



Najpiękniejsze i najtańsze sportowe wózki dziecięce
dostarcza
„Moravia", Freistadtl 8, Morawy
Żądajcie cennika Nr. 27.

Darmo

pomimo ogólnej
drożyzny
otrzyma każdy piękny przedmiot użytkowy, kto zamówi 5 kilową paczkę
Kawy żytniej „Probat"
1 paczka tylko K 3·70, franko do każdej stacyi za zaliczką

„PROBAT"

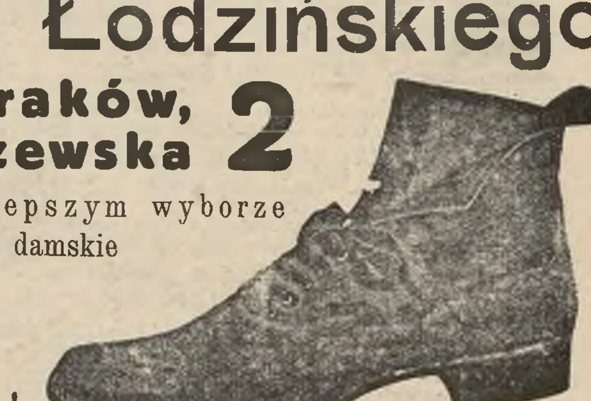
jedynie daje bez drogiej domieszki ziarn kawy zwykłej, zdrową i smaczną kawę. Prawdziwy tylko w zamkniętych woreczkach z marką „PROBAT"
Bernsdorferowska palarnia zboża
Bernsdorf 23
koło Trautenau
(Czechy).

MAGAZYN Z OBUWIEM

Feliksa Łodzińskiego

2 Kraków, Szewska 2

poleca w najlepszym wyborze obuwia męskie, damskie i dziecinne.



Ceny przystępne!



Telefon 23446.
Automatycz. pułapka
na szczury K 4·–, na myszy K 2·40 chwyta bez nadzoru do 50 sztuk przez jednę noc.
Nie pozostawiają żadnego zapachu i ustawiają się same przez się.
Pułapka na karaluchy
jedyna w swoim rodzaju, tysiące prusaków i karakonów w ciągu jednej nocy chwytająca à K 2·40.
Wszędzie najlepszy skutek. Wysyła za zaliczką
Franz Humann, Wien II., Aloisgasse 3 33.
Wiele listów z uznaniem. — Używane przez c. k. wojskowe magazyny prowiantowe. — Przed lichemi naśladow. ostrzega się. — Tysiące sztuk w użyciu. — Wysyłka do wszyst. części świata. — Żądajcie cennika za darmo.

Julian Dąbrowski we Lwowie

ul. Akademicka 3, vis à vis Hotelu George'a
od wielu lat zaszczytnie znany jedyny w Galicyi

Magazyn zegarmistrzowsko-jubilerski

połączony z dwoma pracowniami.
Kupuje: **Brylanty, perły, złoto, srebro** etc. również przyjmuje stare **kosztowności w zamian za nowe.**
Wszelkie zamówienia z prowincyi uskutecznia się jak najrychlej.
Wielki wybór pierścionków zaręczynowych, szpilek i pierścionków bukietowych.

Cztery tygodnie na próbę



i dla oglądnięcia wysyłam moje znakomite rowery marki **„BOHEMA"** i gwarantuję pisemnie za dobre wykonanie i materyał. Reperacye i części składowe jaknajtaniej.
F. Dušek, fabryka rowerów **w Opočno** stacya kolei państw. 2066 (Czechy). Illustr. cenniki darmo

---

Automatycze aparaty fotograficzne



z którymi każdy laik obchodzić się może, sporządzające fotografie w ciągu jednej minuty od Kor. 13·—. Kompletne aparaty fotograficzne (z drzewa, nie papy) z płytami, papierem, chemikaliami i szkołą K 1·60, 2·20, 3·20, 4·50, 6·20, 9·70 i wyżej (porto osobno). Za dobre obrazy gwarantuje się! Aparaty dla zdjęć miniaturowych, podwójne anastygmaty, aparaty zbytkowne, kupna okazyjne. Automaty fotograficzne z wrzucaniem pieniędzy dla restauratorów etc.

Nadzwyczajne nowości fotograficzne! Cenniki darmo!
Elfr. Birnbaum, skład przyborów fotogr. **Hirschberg 104** (Czechy).

Do Ameryki i Kanady



przeprawia najlepiej

Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka 99.

Cena przeprawy z Tryestu do N. Yorku III. kl. od osoby dorosłej wraz z pogłównem **K 220·—**, od dziecka poniżej lat 12 wraz z pogłównem **K 120·—**.

Odjazd z portu **w Tryeście: Ivernia:** dnia 4 czerwca 1912, **Carpathia:** dnia 18 czerwca 1912. **Saxonia:** dnia 2 lipca 1912.
Z Liwerpolu: Lusitania: (najszybszy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 8|6, 29|6, 27|7, 17|8, 7|9 1912 r.
Mauretania: dnia 1|6, 22|6, 13|7, 10|8, 31|8 1912 r.

BLUZKI i HALKI

od skromnych do najwytworniejszych.

Fabryczny skład Płócien, Bielizny damskiej, Bielizny pościelowej, stołowej oraz
kompletnych wypraw ślubnych
Torebki, Paski, Żaboty, Kołnierze, Krawaty, Pończochy, Rękawiczki glace, duńskie, jedwabne i niciane, Szale gazowe i koronkowe, Woalki, Wstążki, Koronki, Kwiaty, Pióra strusie, Biżuterye i t. p. **poleca w wielkim wyborze**

Karol Jarosz przedtem Zimler i Spółka

Kraków, Rynek 41, Linia A-B. Telefon 2329

Defekt automobilowy jest małem złem

w porównaniu do przypadłości, jakich się można nabawić przez zaziębienie, zwłaszcza w czasie jazdy samochodem. Dlatego należy zawsze zabierać ze sobą pudełko Faya prawdziwych Sodeńskich mineralnych pastylek ilekroć się ma zamiar urządzać przejażdżki automobilem. Pastylki owe czynią błonę śluzową bardzo podatną, uchylają wszelkie affektacye i chronią ją przed niezmiernem niebezpieczeństwem jakie sprowadzić może kurz. Faya prawdziwe Sodeńskie mineralne pastylki dostać można pudełko po K 1·25 w każdej aptece, drogueryi itp.

Broń

starannie wypróbowaną, w najlepszym gatunku i najdokładniejszem wykonaniu, wysyła **c. k. dostawca dworu**
Hanns Konrad, Brüx Nr. 2946 Czechy.
Rewolwer K 5·50, pistolety kieszonkowe „Flobert" Kor. 1·90, krócica K 2·–, Floberty Tesching'a K 9·50, strzelby myśliwskie K 36·—, 38·— i wyżej w bardzo bogatym wyborze.
Katalog główny na żądanie każdemu **darmo i opłatnie.**

Lalki

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie

poleca w wielkim wyborze

C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE ul. Grodzka 2

Magazyn Bielizny Franciszka Martina

w Krakowie, Rynek gł. L. 6 (szara kamienica).

Poleca **pończochy, skarpetki** wełniane, bawełniane, „fil de conce" i jedwabne. Wielki wybór **krawatów** dla Pań i Panów. **Boa** z piór, **szale** jedwabne, gazowe i wełniane. **Halki** w rozmaitych jakościach i kolorach, **reformy** dla Pań oraz **kompletne wyprawy ślubne.**
Towar doborowy! Ceny niskie!
(W niedziele i święta sklep zamknięty).

JACQUES FUTRELLE.

Zadziwiająca kobieta.

Tłum. z angielskiego.

7

Weszli od tyłu do jakiegoś domu, Miss Thorne prowadziła ajenta przez szereg pokoi, potem przez schody, wreszcie weszła do jakiegoś pokoju, zamknęła drzwi i odkręciła światło.

— Worki ze złotem znajdują się w przyległym pokoju — rzekła z zupełnym spokojem.

Mr. Grimm znalazł je w ciemnej alkowie, otworzył jeden z dziesięciu worków i począł przesypywać złoto przez palce. Po chwili odwrócił się i spojrzał na Miss Thorne, która, osłabiona i przybladła, stała obok, przyglądając mu się.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał. — Czyj to jest dom?

— Wenezuelska ambasada — odrzekła. — Jesteśmy oddaleni zaledwie o czterdzieści stóp od kasy, z której skradziono te pieniądze. Widzi pan, jak to wygodnie.

— A czyj to pokój? — dopytywał się Mr. Grimm.

— Czy muszę odpowiadać?

— Musi pani.

— Senority Rodriguez, mojej obecnej gospodyni. Widzi pan, do czego pan mnie zmusił. Ona i Mr. Cadewallader robili wycieczkę do Baltimoore w jego automobilu i... i... — zatrzymała się. — On nic o tem nie wie — dodała.

— Tak, wiem o tem — odpowiedział Mr. Grimm.

Przez długą chwilę wpatrywał się w jej oczy z jakiemś dziwnem natężeniem. Wreszcie zapytał:

— Gdzie jest obecnie Senorita?

— Gra w bridge'a — odparła Miss Thorne ze smutnym uśmiechem. — W taki sposób spędza wieczory conajmniej dwa razy na tydzień. Rzadko wraca przed drugą w nocy.

Wyciągnęła nagle rękę i rzekła błagalnie:

— Proszę być wspaniałomyślnym, Mr. Grimm. Ma pan złoto, proszę jej nie gubić.

. . . .

Senor Rodriguez, ambasador wenezuelski znalazł na drugi dzień rano złoto w swej kasie wraz z krótką notatką Mr. Grimma, w której nie było wyjaśnień, gdzie i jak znalezione było to złoto.

Zaś w dwie godziny później M. Boisségur, ambasador francuski w Stanach Zjednoczonych znikł ze swojego pałacu.

ROZDZIAŁ XII.

Zniknięcie dyplomaty.

W trzy dni po zniknięciu ambasadora, M. Rigolot, sekretarz francuskiej ambasady i tymczasowy jej kierownik donosił naczelnikowi biura tajnej policyi, Mr. Campbellowi, o tym fakcie, opisując przytem szczegółowo najdrobniejsze okoliczności, w jakich zaszedł ten wypadek. Opowiadał porządnie, treściwie aż do końca, podczas gdy Mr. Grimm i jego szef przysłuchiwali się w milczeniu.

— Mr. Boisségur, ambasador, trzeba panom wiedzieć, jest człowiekiem, prowadzącym nadzwyczaj regularne życie — mówił p. Rigolot. — Obrał sobie za zasadę, od której nigdy nie odstępuje, żeby przychodzić do biura codzień o godzinie dziesiątej rano. Pozostaje tam do pierwszej, dyktując listy i załatwiając sprawy bieżące. Znam go od dawna, byłem jego sekretarzem w Niemczech i w Japonii, teraz pracuję z nim tutaj i nie pamiętam, żeby mu się zdarzyło odstąpić od tej zasady kiedykolwiek, z wyjątkiem choroby lub konieczności dyplomatycznej natury. Otóż, proszę panów, ostatniego wtorku, dziś mamy piątek, ambasador był w swojem biurze, tak, jak zawsze. Podyktował z tuzin lub więcej listów i zaczął pisać prywatny list do swej siostry w Paryżu. Nie dokończywszy tego listu, pozornie, bez żadnej przyczyny, wstał od biurka i opuścił pokój, zamknąwszy drzwi za sobą. Stenograf jego od niósł wrażenie, iż ambasador przypomniał sobie jakąś drobną sprawę i udał się do głównego biura. Idąc do tego biura, trzeba przechodzić przez halę. Wrażenie to potwierdza fakt, iż zostawił na popielniczce świeżo zapalonego papierosa i wyszedł z piórem, założonem za ucho. Wyglądało to tak, jak gdyby wyszedł na chwilę i miał natychmiast wrócić, zwłaszcza, iż w rozpoczętym liście nie dokończył zdania. Mówię to, aby zaznaczyć, że pobudka do wyjścia przyszła niespodziewanie. Dalej, zdaniem stenografa, w zachowaniu się ambasadora nie można było zauważyć nic niezwykłego. Stało się to mniej więcej około dwunastej w południe. O pierwszej ambasador nie wrócił i stenograf udał się na śniadanie.

M. Rigolot w miarę opowiadania począł zapalać się, zatrzymał się na chwilę, żeby opanować wzruszenie, którego nie chciał okazać. Spojrzał przytem na Mr. Grimma, zastanawiając się, czy młody człowiek go słucha — miał bowiem wyraz twarzy najzupełniej obojętny.

— Trzeba panom wiedzieć — ciągnął dalej — że dowiedziałem się o tem wszystkiem dopiero około godziny piątej popołudniu. Byłem zajęty ważną pracą w moim gabinecie — i zamieniwszy z ambasadorem parę słów zaraz po jego przyjściu — nie widziałem się z nim póżniej. Stenograf, p. Netterwille przyszedł do mnie po instrukcye i zawiadomił mnie wówczas o nieobecności ambasadora. Skończył listy i nie miał komu dać ich do podpisania. Rozpocząłem badanie i im dalej je prowadziłem, tem bardziej sprawa wydawała mi się podejrzaną. Są tylko dwa wejścia do ambasady. Przy jednem z nich stale znajduje się odźwierny od dziewiątej rano do dziesiątej w nocy. Wchodząc lub wychodząc tylnem wejściem, trzeba przechodzić przez kuchnię. Żaden z dwu służących, stojących kolejno przy drzwiach frontowych nie widzieli wychodzącego ambasadora. *Comprenez?* To może wyglądało śmiesznie, panowie, lecz poszedłem do kuchni. Kucharz był tam przez cały dzień i wcale nie widział p. Boisségur. Rozpytywałem dalej: nikt z urzędników ambasady, nikt ze służby ani z rodziny ambasadora nie widział go od chwili, gdy opuścił biuro.

Sekretarz znowu zatrzymał się na chwilę i przeciągnął ręką po stroskanem czole.

— Panowie — ciągnął dalej wzruszonym głosem — ambasador francuski zginął, zniknął! Przeszukaliśmy dom od piwnic do strychów — ale nie znaleźliśmy żadnych śladów. Kapelusz, który zwykle nosił, znajdował się w hali, z reszty kapeluszów — nie brakło żadnego. Jak przypominają sobie panowie — we wtorek było zimno, tymczasem wszystkie okrycia ambasadora znaleziono na swych miejscach. Tak wygląda, panowie, że jeśli opuścił ambasadę, to nie wyszedł przez drzwi — i był bez kapelusza i okrycia.

Zamilkł bezradnie, patrząc kolejno to na dobroduszną twarz Mr. Campbella, to na obojętne rysy Mr. Grimma.

— Jeżeli opuścił ambasadę? — zauważył Mr. Grimm. — Ponieważ, jak pan twierdzi, przeszukano całą ambasadę i nie znaleziono go, więc musiał opuścić ten dom.

M. Rigolot spojrzał na młodego człowieka bezmyślnie i skinął potakująco głową.

— Ale tam są okna — rzekł Mr. Grimm. Po czem dodał:

— O ile dobrze zrozumiałem, nikt, oprócz pana i stenografa — nie widział ambasadora po godzinie dziesiątej rano?

— Tak jest, o ile wiem — odparł M. Rigolot.

— Czy nie było jakich posłańców, depesz lub telefonowania.

— Przeprowadziłem badania co do tego — nie było posłańców, ani depesz — i nikt nie wzywał ambasadora do telefonu. Były tylko cztery prywatne listy, które pozostawił na biurku, gdzie są do tąd.

Mr. Grimm przyglądał się uważnie sekretarzowi. Rzeczywiście nie było żadnych pozornych przyczyn, które mogłyby wytłumaczyć zniknięcie.

— Listy, które podyktował pan Boisségur, leżały na biurku stenografa. W ogólnem zamieszaniu zapomniano o nich i pozostały tam przez noc. — Tu p. Rigolot poruszył się żywo.

— We środę rano — zakończył uroczyście — listy te nosiły własnoręczny podpis ambasadora.

Mr. Grimm zatrzymał przez chwilę swe oczy na wzburzonej twarzy M. Rigolot.

— Czy niema wątpliwości, że to jest jego podpis? — zapytał.

— *Non, monsieur, non!* — wykrzyknął sekretarz. — Niema wątpliwości! Znam podpis ambasadora od tylu lat. Listy nie były prywatne. Może pan zechce zobaczyć ich kopie. Podał ajentowi duplikaty. Mr. Grimm przeczytał je uważnie, podczas gdy sekretarz wyczekiwał nerwowo. Otrzymawszy z powrotem papiery — ciągnął dalej.

— W nocy ze środy na czwartek zaszła też pewna dziwna rzecz. P. Boisségur pali papierosy specyalnego gatunku, które robią mu we Francyi i przysyłają tu. Pudełko z temi papierosami stoi zawsze na stole w jego ubieralni. Otóż lokaj doniósł nam we czwartek rano, że pudełko to znikło.

— Naturalnie — zauważył Mr. Grimm — p. Boisségur ma klucz od zatrzasku przy drzwiach ambasady.

— Ma się rozumieć.

— Czy nic nadzwyczajnego więcej nie zaszło podczas ostatnich nocy?

— Nie, panie, a przynajmniej nic nie zauważyliśmy.

Mr. Grimm milczał, okręcając pierścień na palcu. Mr. Campbell odwrócił się i porządkował papiery na biurku. M. Rigolot oburzony ich obojętnością, okręcił się nerwowo na krześle.

— Widocznie — rzekł w zamyśleniu Mr. Grimm — ambasador po tak tajemniczem zniknięciu powracał dwukrotnie do domu, lub też kogoś tam posyłał, żeby przynieść mu listy do podpisu i papierosy.

— *Certainement, monsieur.* Tak właśnie musiało być. Ale gdzie on jest? Czemu nie wraca? Co to wszystko ma znaczyć? Pani Boisségur jest zrozpaczona, prosiła, żebym zawiadomił policyę. Ale sądziłem, że nie należy nadawać rozgłosu tej sprawie i dlatego przyszedłem tutaj.

— Bardzo dobrze — rzekł Mr. Grimm. — Proszę zostawić teraz wszystko tak, jak jest i uspokoić panią Boisségur. Proszę wytłumaczyć jej, iż skoro ambasador podpisał listy i zabrał papierosy, więc żyje. Będę dziś popołudniu w ambasadzie. Z panem teraz nie pójdę, jest to niedogodne. Proszę mi zostawić swój klucz.

M. Rigolot wyjął żądany klucz i podał mu w milczeniu.

— I jeszcze jedno — ciągnął Mr. Grimm — proszę zebrać wszystkie rewolwery, jakie znajdują się w domu i schować je u siebie. Gdyby ktoś usłyszał skradanie się w nocy, mógłby postrzelić ambasadora lub mnie.

Gdy sekretarz ambasady francuskiej wyszedł, Mr. Campbell, bębniąc palcami po biurku, zaczął studyować twarz swego pomocnika.

— Aż tyle! — odezwał się wreszcie.

— To znowu Miss Thorne — rzekł młody człowiek, jakby odpowiadając na pytanie.

— Moje raporty, które dziś otrzymałem ze stolicy Włoch pomogą panu do wyświetlenia tajemnicy.

Mr. Grimm zwrócił się żywo do papierów.

— A tymczasem nasz królewski gość, książe Benedetto d' Abruzzi pozostaje nieznany — ciągnął Mr. Campbell. Młody człowiek zacisnął zęby.

— To jest tylko kwestya czasu, panie szefie! — odparł. Ja go znajdę! Ja go znajdę!

Poczem usiadł i dalej studyował raporty.

ROZDZIAŁ XIII.

Rozmowa po ciemku.

Białe promienie dalekiego światła sączyły się przez nawpół zsunięte aksamitne portyery i oświetlały biurko ambasadora. Ciężkie, wybite skórą fotele stały już w cieniu. Noc panowała nad uśpionem miastem i żaden dźwięk nie mącił ciszy. Na jakimś zegarze wieżowym wybiła druga. Na jednym z foteli w kącie pokoju siedział Mr. Grimm, objąwszy rękami kolana i nadsłuchując. Siedział już tak bez ruchu od dwóch godzin. Pięć. dziesięć, piętnaście minut upłynęło i nagle Mr. Grimm usłyszał oddalony turkot automobilu — turkot ten zbliżał się.

— Honk! Hon-on-onk! — dźwięczała żałośnie trąbka. Honk! Hon-on-onk!

Sygnał! Nareszcie! Mr. Grimm poruszył się i opuścił nogi bez szelestu na podłogę. Położył ręce na kolanach i wpatrując się w otwarte drzwi do hali, wytężał słuch. Automobil oddalił się. Mr. Grimm pochwycił jakiś szmer, którego z taką cierpliwością oczekiwał. Przeszła minuta — nic nie naruszyło głębokiej ciszy. Nagle rozległ się suchy trzask przekręcanego guzika i jasne światło zalało pokój, oślepiając na chwilę młodego człowieka. Nie poruszył się ze swego miejsca i usłyszał cichy szept:

— Dobry wieczór, Mr. Grimm!

Powiedział to miły, miękki głos kobiecy. Jakkolwiek Mr. Grimm nie spodziewał się go usłyszeć, poznał go natychmiast — nie było drugiego takiego głosu na szerokim świecie. Oślepiony jeszcze światłem, powstał:

— Dzień dobry, Miss Thorne! — pozdrowił ją.

Już widział ją, widział jej zgrabną figurę na tle zielonych ścian pokoju. Usta młodej kobiety wyglądały tak, jak gdyby przed chwilą uśmiechała się, w jej oczach odbijało się coś w rodzaju zdziwienia. Wieczorowa suknia spływała czarująco z jej kształtnej figury — białe obnażone ramie wyciągnięte było w stronę guzika elektrycznego.

— Czy pan mnie nie słyszał? — zapytała znowu szeptem. Zgaszę teraz światło na chwilę, proszę tymczasem pozasłaniać okna. A później, później muszę rozmówić się z panem w pewnej kwestyi.

W tej chwili światło zgasło raptownie, a Mr. Grimm, poruszając się bez szelestu, zasłonił wszystkie cztery okna. Poczem światło znowu zabłysło.

— Tylko na chwilkę — rzekła Miss Thorne, podając mu kawałek papieru. Proszę to przeczytać, potem zgaszę światło — jest ono niebezpieczne. Później będziemy mogli mówić ile się nam podoba.

Podczas gdy ajent czytał, Miss Thorne przyglądała mu się bacznie. Gdy skończył, światło zgasło, a młoda kobieta przeszła przez pokój i usiadła w fotelu. Mr. Grimm usiadł obok niej.

— Myślę — zaczęła — że to jest dostatecznem wytłumaczeniem zniknięcia francuskiego ambasadora.

— Oczywiście — zgodził się Mr. Grimm — porwanie, trzymanie go w więzieniu, żądanie pięćdziesięciu tysięcy dolarów za życie i wolność. To tłumaczy mi zupełnie zniknięcie. A do kogo, jeśli wolno zapytać, skierowane było żądanie wykupu?

— Do pani Boisségur — odparła Miss Thorne— mam kopertę, w której to przyszło. Nadane było na głównej poczcie dziś o pierwszej popołudniu. Tak przynajmniej wskazuje pieczęć. Adres, jak i ta karta pisany jest na maszynie.

— A jakim sposobem — zapytał ajent po krótkiej pauzie — jakim sposobem przyszła pani do posiadania tego? — Czekał chwilę, poczem mówił dalej:

— Dlaczego M. Rigolot nic mi w swojem opowiadaniu o tem nie wzmiankował?

— M. Rigolot nie mówił panu, gdyż nic o tem nie wiedział. Otrzymałam tę kartkę wprost z rąk pani Boisségur — ona mi ją dała.

— Dlaczego?

Mr. Grimm wpatrywał się w białą plamę jej twarzy, zarysowującej się niewyraźnie w ciemności.

— Poznałam panią Boisségur przed sześciu laty — tłumaczyła Miss Thorne — i zaprzyjaźniłyśmy się. Poznałam ją w Tokio, później spotkałam się z nią w Berlinie, a wreszcie przed kilku tygodniami tu, w Waszyngtonie. Jak pan widzi, dosyć podróżowałam, będąc ajentem swego rządu. Otóż madame Boisségur otrzymała ten list dziś o wpół do czwartej popołudniu. O wpół do piątej przysłała po mnie, wręczyła tę kartkę i opowiedziała szczegółowo okoliczności, towarzyszące zniknięciu ambasadora. Tak, teraz jesteśmy z panem po raz pierwszy wspólnikami. Zdaje mi się, że zagadka jest rozwiązaną — pozostaje tylko odnaleźć i wypuścić ambasadora.

Mr. Grimm ciągle milczał.

— A dlaczego — zapytał w końcu — znajduje się pani teraz tutaj?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył L. Feilschuss, Lwów.

Z każdego z poniżej umieszczonych wyrazów wyjąć po dwie głoski, z ostatniego zaś trzy i ułożyć z nich znane polskie przysłowie:

Wodomierz, brataniec, kryzys, występ, Ropczyce, rodzaj, zaniechać, Trepow, pobożny, nożyce, zając.

Arytmogryf.

Ułożył L. Feilschuss, Lwów.

W miejsce liczb wstawić odpowiednie głoski, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd, czytany z góry na dół, utworzy nam nazwisko znakomitego polskiego poety.

10	7	12	17	7	23	20	
12	7	16	1	24			
7	14	7	14	7	19		
19	6	2	7				
1	19	3	22	4			
14	7	17	6	4	9	6	14
19	7	14	21	7	3	13	
10	7	17	9	4	5	19	13
1	12	9	14	7			

Znaczenie wyrazów: 1. Góry w Europie. 2 Część ciała. 3. Owoc południowy. 4. Ptak drapieżny. 5 Uzdrowisko w Austryi Wyższej. 6 Imię panującego w XIX. wieku. 7 Ryba. 8. Część odzieży. 9. Imię żeńskie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Heyman, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O ładna! Daj kilo jabłek! Pono bieda!

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Heyman, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Gąsior wina, ulica, len, uda, kat.

Figielek.

Ułożył J. Heyman, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć cztery rozmaite wyrazy:

1	2	3	4	5	6
1	6	5	4	3	2
1	4	5	6	3	2
4	1	5	6	3	2

1. Imię męskie. 2. Przyrząd sportowy. 3. Dzień w tygodniu. 4 Miejscowość w Królestwie Polskiem ze znanym zakładem leczniczym.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Zugaj, Wilamowice.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Stasiu! Koza czuła sad.

Łamigłówka.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną głoskę i ułożyć z nich znane przysłowie:

Kij, kiel, Don, czas, sad, mur, rum. Noe, Nil, tur, ból, głos, ret, on, Zola, Sem, las, kra, pies, kres, Maro.

Łamigłówka krzyżowa.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Podane litery poprzestawiać w ten sposób, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym

			a	a	a			
			a	b	b			
			c	c	e			
e	e	e	g	g	j	j	k	k
l	l	m	m	m	n	n	o	o
r	r	r	s	s	s	t	t	t
			t	u	u			
			z	z	z			

Znaczenie wyrazów: 1. Osada w Mongolii. 2 Stolica jednego z państw naddunajskich 3 Miasto w Anglii.

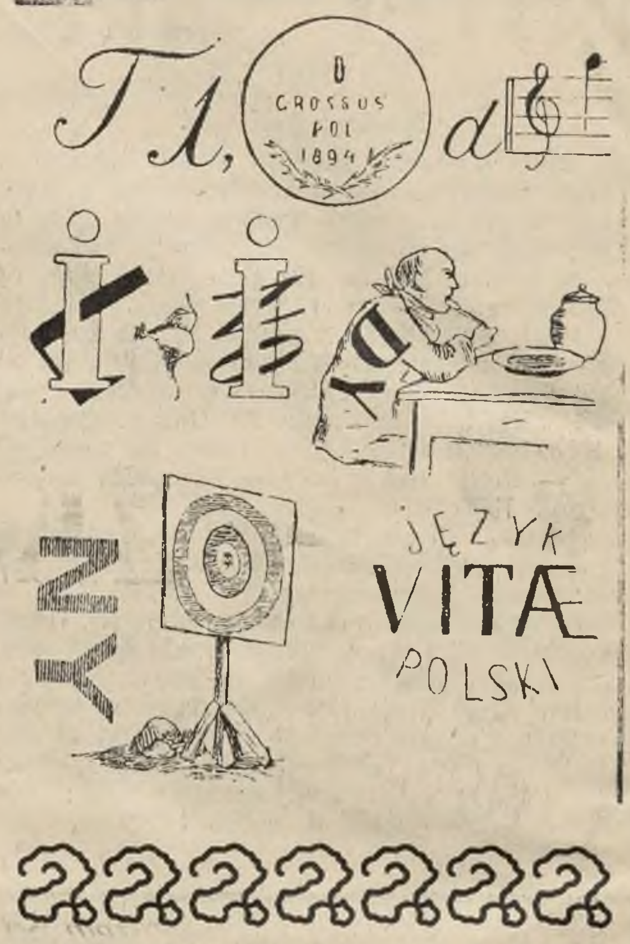
Zadanie do przestawienia.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Tetis! Patrz sam, jaki kęs z mise zjesz!...

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Stanisława Koźmiana:* Rok 1863. 3 tomy.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Zdzisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.